

CZESŁAW IBERSZER

SACHSENHAUSEN

Na temat tego obozu koncentracyjnego napisano już kilka książek i ciekawych wspomnień. Na pewno moje przeżycia będą na tle innych. Dlatego chcę tu ograniczyć się tylko do spisania zdarzeń mających pewną wartość dla rodziny.

Za pięć dwunasta

Z podróży poślubnej kajakiem przez Polesie wracaliśmy z Aneczką do Kazimierza przez Lublin i Puławę. W Lublinie wizyta u Falkiewiczów. Ich córka Iza miała wtedy 12 lat i długie warkoczyki. Sewera i Józef Falkiewiczowie prowadzili spokojne życie. Na politykowanie nie mieli czasu. Zajęci byli przy wykańczaniu domku, który sobie właśnie postawili.

W Puławach mijały nas pociągi pełne wojska. Śpiewano żołnierskie piosenki.

Zapytałem głośno: "Dokąd jedziecie?". "Na Berlin" - padło wiele gromkich odpowiedzi. W Kazimierzu zatrzymałem się na krótko. Zobaczyłem tylko rodzinę i odjazd do Warszawy. Aneczka została. Był 26 sierpnia 1939 roku.

Wróciłem do pracy w Wytwórni Amunicji Nr 1 w Forcie Bema w Warszawie.

Zatrudniony byłem jako konstruktor w biurze technicznym. Czuję się tu dobrze. Po szesnastu miesiącach pracy wyrobiłem sobie markę samodzielnego konstruktora-technologa. Zarabiałem nieźle. Dostałem podwyżkę, a nawet nagrodę dyrektora za pewne oryginalne rozwiązania w produkcji łusek armatnich.

Wojna

Aż przyszedł fatalny piątek dnia 1 września. Wywołano nas na zewnątrz i pokazano białe obłoczki dymu na południowym nieboskłonie. To rwały się pociski artylerii przeciwlotniczej. Okęcie zostało zbombardowane. Może jeszcze 2-3 dni normalnej pracy i zaczęliśmy demontaż lub uszkodzanie poszczególnych maszyn. Niemcy przecież nie mogli korzystać z fabryki. Dnia 6 września każdy z pracowników wytwórni otrzymał pismo - okólnik nr 66, podpisane przez płk. Kulwiecia. Zwalniano nas. Odprawę pieniężną za trzy miesiące z góry mieliśmy otrzymać tegoż dnia lub następnego na ul. Śniadeckich nr 8. Żadnych jednak pieniędzy nie otrzymałem. Byłem bezrobotny. Wojna.

Odwiedziłem siostrę żony - Władysławę Roszczyk. Uprosiła mnie, bym jej pomógł ewakuować się z rodziną do Kazimierza. Miała dwie córeczki: Stefę (6 lat) i Ewę (3 latka). W Kazimierzu czekała Aneczka, więc nie dałem się prosić.

Przed wyjazdem pracowałem przy stawianiu barykad. Niemcy mieli wejść do Warszawy od strony Pragi. Pamiętam, jak zrywaliśmy kostkę z jezdni na ulicy Waszyngtona i układaliśmy zaporę przeciwczołgową.

Ucieczka na wschód

Do wymarszu dołączył się szwagier Mikołaj Czubiński. Po trzech dniach tułaczki, 11 września, byliśmy w Puławach. Palił się dworzec kolejowy. Wszędzie walał się rozbity sprzęt wojskowy. Leżały zabite konie. Idąc dalej skrótami, dotarliśmy do Kazimierza. Aneczka i rodzina przywitali nas nad wyraz serdecznie, a my poczuliśmy się jakoś bezpiecznie. Okoliczne wąwozy dawały dobre schronienie przed ewentualnymi bombardowaniami i ostrzałem artyleryjskim zza Wisły, więc na Wiatrak przybywało coraz więcej uciekinierów. Mieszkańcy Kazimierza myśleli, że nad Wisłą będzie front - tak jak to miało miejsce podczas pierwszej wojny światowej. Wtedy właśnie całe rodziny długo przebywały w wąwozach, w których urządziły sobie zastępcze mieszkania. W takich samych warunkach połowych urodziłem się dnia 3 marca 1915 roku.

Nie było obrony Kazimierza

Po krótkim odpoczynku postanowiłem zgłosić się do miejscowego komitetu obrony. Wziąłem ze sobą brata Witolda. Znaliśmy całą okolicę jak swoją kieszeń. Gdy odchodziliśmy, jakaś kobieta zawołała za nami: "Bohaterzy!". Ale na dole, w mieście, nie zanosilo się na obronę. W magistracie ustalono całonocne dyżury obywatelskie. Jedną noc spędziłem przy telefonie w towarzystwie Kosiorowskiego. Z Warszawy przywoziłem maskę przeciwgazową. Nikt poza mną maski nie miał, więc przestałem nosić swoją.

Niemcy ominęli jednak Kazimierz i przez most w Puławach poszli na wschód.

Wypad do Wieliczki i Krakowa

Pod koniec października 1939 r. uradziliśmy w rodzinie, że podjadę do Krakowa. Miałem tam w okolicy odszukać brata Stacha, który w Lasach Janowskich dostał się do niewoli. Spóźniłem się. Jeńcy zostali już odtransportowani na zachód, w głąb Niemiec. Wróciłem z woreczkiem soli. Brakowało jej od kilku dni w domu i mieście. W Krakowie nocowałem u pani Orman, siostry pierwszej żony Stacha.

Wizyta w okupowanej Warszawie

Na prośbę Aneczki i Władysław - gdzieś na początku listopada - wsiadłem na rower i pojechałem do Warszawy. Był to ciężki całonocny wysiłek. Z trudem zdążyłem przed godziną policyjną. Zajrzałem do domu w Warszawie. Zabezpieczyłem rzeczy. Tapczan przestrelony. Ślady krwi. Przed moją fotografią jakiś żołnierz niemiecki napisał karteczkę: "Lebe wohl guter Kamerad1". Jak się po wojnie dowiedziałem, policjant, u którego mieszkałem, powiedział żołnierzom Wehrmachtu, że byłem Niemcem. Chciał w ten sposób zaskarbić sobie ich łaskę i uchronić siebie przed ewentualnymi szykanami. Przygnębiony wracałem do Kazimierza. Warszawa - tak niedawno wolna i bohaterska, teraz ujarzmiona.

Przed aresztowaniem

Zima 1939/1940 była sroga i smutna. Okupant sparaliżował wszelkie życie publiczne. Gestapo zacieśniało swe macki na narodzie polskim. Piąta kolumna dostarczała informacje, kto z Polaków może być potencjalnie niebezpiecznym dla III Rzeszy. Zaczęły się aresztowania. Ludzie ograniczali życie towarzyskie do koniecznego minimum.

W Kazimierzu, w klasztorze, stał oddział Wehrmachtu. Mieli tabory. Dla różnych robót kowalskich i ślusarskich wybrano warsztat ojca. Pomagałem w kuźni. Sporządzałem też rachunki w języku niemieckim i nosiłem je do intendenta do realizacji. Wypłacali. Przychodzili do ojca do kuźni. Przyglądali się, jak pracuje. Wpraszali się nawet do domu na wieczór. Zdawali się być przyjaźnie nastawieni. Tłumaczyłem rozmowy. Zima była mroźna i śnieżna. Warunki na narty idealne. Kilka razy zakładałem deski i szedłem w teren. Za każdym razem postanawiałem więcej tego nie robić. Źle się czułem w atmosferze ogólnego przygnębienia. Sport w ogóle nie pasował do stanu niewoli. Mógł drażnić zarówno Polaków, jak i okupanta. Spotkany wehrmachtowiec zapytał mnie, gdzie można kupić sprzęt narciarski. Czułem, że mi więcej nie wolno jeździć na nartach. Przestałem. Unikałem chodzenia ulicami miasta. Całkowicie oddałem się pracy w kuźni i gospodarstwie, zarówno ojca, jak i na Wiatraku.

Żołnierze, którzy odwiedzali ojca, często podkreślali w rozmowach, że oni są niegroźni, że są przyjaźnie nastawieni do ludności polskiej. Jednocześnie ostrzegali przed gestapo.

Gestapo przyjeżdżało na krótko. Ktoś w ich imieniu patrzył i rejestrował. Forpoczta byli konfidenti - miejscowi lub ukryci wśród wysiedlonych z Poznańskiego.

Ojciec potraktował na serio ostrzeżenie swoich niemieckich klientów. Ustalił punkt informacyjny na rynku. Kiedy przyjeżdżało gestapo - jedna z Żydówek odrywała się dyskretnie od swego straganu i wchodziła przez korytarz Kamienicy Gdańskiej. Potem biegiem przez zaułki do kuźni. Wtedy ulatniałem się poprzez sady nad Wisłę. Koło spichlerza i kamieniołomów wychodziłem na miejskie pola. Szedłem na Wiatrak.

Aresztowanie

Ale 28 czerwca 1940 roku albo sygnalizacja zawiodła, albo gestapo ominęło rynek...

Wczesne popołudnie. Byłem sam w mieszkaniu i miałem za chwilę wyjść do pracy. Nagle usłyszałem za drzwiami tupot nóg i drzwi rozwarły się z trzaskiem. Usłyszałem "Hände hoch"2 i dalsze wrzaski. Gdy z podniesionymi rękami odwróciłem się - zobaczyłem trzech esesmanów i pistolety skierowane we mnie. Żadnej szansy ucieczki ani walki. Na podwórzu mogli być dalsi esesmani.

"Sind Sie Ceslaus Iberszer?"3 - zapytał pierwszy z Niemców. Jak odpowiedzieć? Czy skłamać? Podać, że to brat, co mieszkał obok? A jak pójdą ze mną i sprawdzą? Zaszkozić mogę bratu, mojej żonie, rodzinie i sobie. Podobne myśli kłębiły się w głowie jak szalone. Więc przytaknąłem z trudem, że to ja. "Kommen Sie mit!"4 - usłyszałem i poszedłem.

Ciężko mi było iść przez ukochane miasto pod lufami wycelowanymi we mnie. Kazimierz był wtedy tak piękny, jak gdyby chciał najdłużej zostać takim w mojej pamięci.

Ulica Senatorska była w tym czasie pusta i tylko w odległości kilku metrów szła za mną rodzina. Na pytanie ojca na jak długo i dokąd mnie zabierają, konwojujący esesman odpowiedział łamaną polszczyzną, że mi nic nie trzeba przekazywać, bo wrócę zaraz po udzieleniu pewnych wyjaśnień. Nie wierzyłem w to. Dzień wcześniej mieliśmy kolejne spotkanie z kolegami w domu Kifnera, gdzie pod pozorem gry w brydża zastanawialiśmy się nad zrębami organizacji podziemnej, nad sposobem działania na co dzień, wymienialiśmy informacje itp. Rodzina o tym nie wiedziała. Czyżby ktoś nas zdradził? Czy już podpatrzył szpieg? Różne przypuszczenia tłoczyły się do głowy. Moje myśli przerwał nieoczekiwany incydent: z poprzecznej ulicy Klasztornej wyjechała w galopie na Senatorską piękna amazonka. Ściągnęła lejcami konia tuż przede mną i podała mi 500 zł, nowiuteńkie, w jednym kawałku, i z uśmiechem powiedziała: "Może się to panu przyda? Życzę szybkiego powrotu". Za chwilę popędziła w głąb ulicy. Nikt jej nie zatrzymał. Żadnego komentarza ze strony Niemców. Byłem w pełni zaskoczony i podziwiałem refleks amazonki, która przecież zza rogu ulicy wyskoczyła w pędzie i błyskawicznie ogarnęła sytuację. Wprost nie wierzyłem własnym oczom. Podziwiałem odwagę. A wyglądało to jakby wyreżyserowane. Może coś wiedziała wcześniej? Skądś się przyglądała?

Wkrótce znalazłem się na rynku w narożnej izbie Kamienicy Gdańskiej, oczywiście pod kluczem. Ku mojemu zdziwieniu byli tam już Stanisław Tyszkiewicz i Tadeusz Werman, ale żaden z nich nie należał do tworzącej się organizacji. Zdziwiło mnie to bardzo i pocieszyło trochę. Co to więc za sprawa? O co tu chodzi? Koledzy też nie wiedzieli.

Za kilkanaście minut znaleźliśmy się w samochodzie policyjnym, częściowo otwartym z tyłu. Więźniarka szybko ruszyła w kierunku Puław. Tuż za nami pędziło otwarte auto osobowe z trzema esesmanami. Na zmianę jeden z nich trzymał stale pistolet skierowany w naszą stronę. Byłem tym bardzo zaskoczony. Za kogo oni nas mają? Jacy my wielcy dla nich przestępcy? Co o nas wiedzą? Co z nami zrobią? Smutna to była podróż. Pełna niedobrych myśli. Prawie w pełnym pędzie zajechaliśmy na dziedziniec Zamku w Lublinie. Zamknęły się za nami potężne, żelazne wrota. Grube mury przytłoczyły mnie i zabrały resztę słońca. Wpakowano nas do celi, w której pełno już było innych aresztowanych mężczyzn. Z prowadzonych rozmów zorientowałem się, że to przeważnie inteligencja polska - przedstawiciele nauki i kultury, działacze polityczni i społeczni, aktywni harcerstwa itp.

Niemcy wyprowadzali więźniów pojedynczo do kancelarii, gdzie sprawdzano i spisywano dalsze personalia (wstępne mieli już przed aresztowaniem) i przydzielano cele. Tu nieoczekiwanie poznałem po raz pierwszy brutalność wroga. Esesmanowi wydawało się, że go celowo wprowadziłem w błąd, gdy podając miejsce urodzenia, swoje imię i nazwisko, powiedziałem: Kazimierz Dolny. Nazwa ta kojarzyła mu się widocznie z imieniem i nazwiskiem, a nie nazwą miejscowości. Miał więc pretekst i rzucił się na mnie. Leżałem na ziemi zbity. Wezwano tłumacza, żeby mnie ostrzegł, że nie wolno tu kłamać. A kiedy tłumacz wykazał moją rację, esesman wpadł w jeszcze większą furję i wyładował ją na mnie. Była to przyspieszona lekcja brutalności i przemocy najeźdźcy, które dotychczas znałem tylko z opowiadań i dzienników.

Znalazłem się w celi na I piętrze. Okratowane okno wychodziło przy wieży na podwórzu więziennym. Mogliśmy spokojnie i z zaufaniem rozmawiać. Było nas razem pięciu kolegów z Kazimierza i Puław. Wszyscy młodzi. Najstarszy wiekiem byłem ja. Chociaż najbardziej doświadczony okazał się Staszek Tyszkiewicz. Był więziony tu na Zamku przez dwa miesiące. Zwolniono go na jeden dzień i z powrotem aresztowano razem ze mną. Jego opowiadania o zwyczajach i trybie życia więziennego były mało pocieszające. Najbardziej ponura była zapowiedź nocy.

Około godziny 24 wyciągano z poszczególnych cel więźniów, wyprowadzano korytarzem w niewiadomym kierunku. Los ich natomiast był raczej wiadomy. Przeważnie mordowano ich. W tej sytuacji nikt nie zasypiał przed północą. Czekaliśmy i my naszej pierwszej nocy na Zamku w ciemnej celi pełni niepokoju i złych przeczuć. Godziny wlokły się niemożliwie. Dużo wspominaliśmy, przede wszystkim czasy gimnazjum i nasze przeżycia osobiste, wymienialiśmy plotki o znajomych i wiadomości polityczne, które w tym czasie były mało pocieszające. Jak zbliżała się północ opowiadania stawały się urywane, jakieś sztuczne. Każdy chciał zostać ze swoimi myślami... przecież Tyszkiewicz opowiadał, że słychać nad ranem przytłumione strzały...

Siedzieliśmy w kucki pod ścianami w zupełnej ciszy i ciemności. W oddali podniósł się hałas, a potem usłyszeliśmy wyraźne kroki kilku osób. Pobrzękiwanie kluczami przeplatało się z głośnymi krokami podkutych butów. Przy którychś drzwiach żandarmi zatrzymali się, zazgrzytał klucz w zamku celi więziennej. Kogoś wyprowadzili. Szli do następnych cel, zbliżali się do nas. Serce waliło jak młotem - przejdą, czy zatrzymają się przed naszymi drzwiami? Ktoś zaczął się żegnać, ktoś mnie prosił o przekazanie rodzinie wiadomości. Wszystko to jakoś szybko, nerwowo i w pełnym napięciu. Tupot żołdackich butów jakby godził w samo serce. I nagłe odprężenie. Przeszli. Przypadek czy los szczęścia? Inni teraz przeżywają to samo, co my przed chwilą.

Staszek zarządził spanie. Następny dzień był jeszcze nasz. Tak będziemy tu przeżywać następną noc. Noce wtedy były krótkie i nasze napięcie nie trwało tak długo. Bandyty i przestępcy popełniają swoje zbrodnie przeważnie pod osłoną ciemności.

Ale przyszła w końcu kolej i na naszą celę. Zatrzymały się buciory żandarmów i klucz straszliwie zazgrzytał w drzwiach naszej celi. Znów szybkie uściski, wyznania i zapewnienia między kolegami.

"Los! Los!" - ponaglali Niemcy, i gęsiego skierowano nas korytarzem ku wyjściu. Byłem przygotowany na śmierć, ale jakoś nie bałem się. Było mi tylko żal, że tak prędko przychodzi, bez walki...

Z dziedzińca zamkowego dochodził jakiś gwar i pojedyncze krzyki niemieckie. Co tam się dzieje? Bunt czy co? Co to jest? Chyba nie masowa egzekucja. Wkrótce i nas wprowadzono. To, co się działo na dziedzińcu zamkowym, przechodziło moje wyobrażenie o czyszczeniu i piekle. Kilku set stłoczonych mężczyzn w różnym wieku poruszało się w jakimś nieokreślonym ruchu. Wśród nich kilkunastu esesmanów próbowało wprowadzić jakiś ład. Ludzie w chwilowym bałaganie zaczęli instynktownie szukać ratunku, oglądać się za możliwościami uratowania swojego życia. Była ogólna wrzawa, słychać było nawoływania, płacz, jęki chorych czy rannych. Niektórzy rozbierali się do naga, by pokazać esesmanom niezagojone blizny, protezy, gorsety ortopedyczne, przepukliny i inne schorzenia, by wzbudzić litość i wyprosić dla siebie lepszy los. Byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem tyle nieszczęść u ludzi wyglądających niedawno na pozór normalnie. Sam byłem młody, wysportowany i nie zetknąłem się blisko z taką niedolą ludzką.

Z tego chaosu i wrzawy wyłoniło się w końcu sześć kolumn po sto więźniów ustawionych piątkami. Otworzyły się bramy więzienia i ruszył pochód skazanych. Na dziedzińcu więzienia pozostał okropny bałagan. Została też część ludzi niemogących podołać trudom podróży, o której na razie wiedzieli tylko ciemniejący. Kolumny po wyjściu za bramę zostały otoczone przez esesmanów. Terroryzowali oni pochód biciem, strzałami i szczuciem psami. Pędzili nas przez śpiący jeszcze Lublin w kierunku dworca. Gdzieś otwierało się okno. W jego kierunku padały strzały. Jak najmniej świadków chciał mieć przestępca. A potem dworzec kolejowy i upokarzająca podróż w nieznaną.

Próba ucieczki z transportu

Wagony osobowe, pozamykane. Wewnątrz co kilka przedziałów strażnik. Lubliniacy szybko stwierdzili, że jedziemy na Nałęczów i Puławę. We mnie coś drgnęło. Myśli zaczęły biegać jak szalone. Przecież tam na przejeździe w Puławach jest wzniesienie. Pociąg zwalnia wyraźnie. Wskakiwali tu uczniowie gimnazjum dojeżdżający z Dębliń, Życzyna, Sobolewa, a nawet Łaskarzewa. Wielokrotnie tłumaczyli swoje spóźnienia na lekcje - spóźnieniem pociągu. Stacja kolejowa mieściła się około 3 km za miastem, na wschód (obecnie stacja towarowa).

Żeby nie wracać piechotą taki kawał drogi, wskakiwali na przejeździe w pobliżu gimnazjum. W pamięci mojej utrwaliło się znaczne wzniesienie, na którym pociąg zwalnia i można wyskoczyć. Na tym zbudowałem plan ucieczki.

Kiedy minęliśmy Nałęczów i przystanek w Puławach, poszedłem na koniec ostatniego wagonu, gdzie była dostępna ubikacja. Przed nią siedział żołnierz oparty na karabinie i jakby drzemał. Może wstyd mu było tej funkcji. Wszystko to wcześniej dyskretnie zbadałem, wchodząc tam na próbę.

Minąłem wartownika. Siadłem na sedes. Drzwi między mną i korytarzem otwarte. Gorączkowo patrzyłem na mijany teren i oczekiwałem, kiedy pociąg zacznie zwalniać. Jeśli wartownikowi wyda się, że za długo blokuję ubikację, może mnie przepędzić. Markowałem więc stosowne odgłosy. Na oznaki zwalniania pociągu miałem włożyć beret na uszy, owinać dłonie płaszczem i uderzyć w szybę, przerzucić się przez okno i skoczyć na nasyp. Zanim żołnierz się podniesie, odwróci, podbiegnie i złoży się do strzału, ja będę już pobliskim lesie. W Puławach miałem ciotkę Figlową i wujka Oronia na pobliskich działkach urzędniczych. Miałem gdzie się ukryć w najbliższym okresie. Taki był plan.

Tymczasem, ku mojemu zdziwieniu, pociąg nie zmniejszając prędkości, minął przejazd i Puławę. Nie wiedziałem, co się stało. Szybko jednak opuściłem ubikację i wróciłem do przedziału. Koledzy pytali, co się stało, że jestem taki czerwony. Odburknąłem coś. Wcisnąłem się w kąt i przeżywałem porażkę.

Dopiero po piętnastu latach zagadka się wyjaśniła. Na zjeździe absolwentów w Puławach dopadłem jednego koleżkę, co dojeżdżał z Sobolewa. Powiedział krótko. Na przejeździe nie było żadnego wzniesienia. To rodzice opłacali maszynistów, by zwalniali w odpowiednim miejscu. Profesorom nie mogli mówić prawdy. Wymyślili więc wskakiwanie na przejeździe, kiedy pociąg zwalnia.

Obóz koncentracyjny Sachsenhausen 01.07.1940 - 02.05.1945

Kwarantanna. Lipiec 1940

W Oranienburgu byliśmy o świcie 1 lipca - po 24 godzinach jazdy. I znów - jak w Lublinie - wrzaski SS, psy, kopanie, bicie kolbami karabinów. Szybki marsz do Sachsenhausen. Około 3 km. W końcu brama z napisem "Arbeit macht frei"⁶ i skręt w prawo do tzw. małego obozu na kwarantannę. Kwarantanna. Blok 37. Tu dano nam kolejne przeszkolenie. Uświadomiono, gdzie jesteśmy, czego możemy się spodziewać, co nas czeka.

Była to diabelska szkoła. Pośpiech i ciągła groźba. Przy pozbywaniu się cywilnych ubrań więźniowie musieli oddać wszystko, co jeszcze zachowali z wolności. Zabierano nawet protezy, okulary, pasy przeciwprzepuklinowe, laski, pieniądze, lekarstwa, przybory do pisania itp. Potem nastąpił cyrk z goleniem, kąpielą, przebieraniem się w pasiaki, przyszywaniem numerów lagrowych i trójkątów z literą "P".

Wkrótce musztra - wdrażanie drylu pruskiego. Miałem wtedy 25 lat, nie byłem jeszcze wyniszczony pobylem w więzieniach. Ale widziałem, jak mocno przeżywali to ludzie schorowani i starsi wiekiem. Przestrach i ból widać było na większości twarzy. W baraku tłok. Śpimy na podłodze stłoczeni jak śledzie. W nocy nie wolno wychodzić do ubikacji. Wstawiano dwa pudełka po marmoladzie dla dwustu ludzi. Szybko napełniają się moczem. Zrobiła się duża kałuża. Niektórzy załatwiają się przez okno. W dzień dostajemy lanie. Cały blok ćwiczy karnie. Ciągłe nas szykanują. Szukają pretekstów do ciągłego znęcania się. Przykładowo:

Blokowy ogłasza: "Byli wojskowi wystąp!". Według zapowiedzi komendanta będą oni przeniesieni do obozów jenieckich, gdzie są znacznie lepsze warunki. Zgłasza się kilku. Wezwany blockführer⁷ kolbą rewolweru bije ich po twarzach i poniewiera godność osobistą i narodową. Koło mnie stoi syn jednego z bitych. Trzymam go za rękę. Cały trzęsie się z napięcia. Jeśli mu nerwy zawiodą, wyskoczy na pomoc ojcu. Wpjam mu więc paznokcie w dłoń, by się opamiętał. Trzymam ile sił.

Blokowy ogłasza: "Wśród was jest dużo katolików. Komendant zezwolił wiernym na nabożeństwo. Kto chce - wystąp!". Wychodzi kilkunastu. Biorą ich na tzw. gimnastykę. Skoki żabką, rolowanie, przysiady i biegi zamiast mszy. Całkowicie wyczerpani fizycznie i moralnie wracają na blok.

Blokowy staje przed naszą kolumną i mówi: "Wśród was jest dużo uczonych. Znajdą oni odpowiednie do swoich umiejętności zatrudnienie i przez to poprawę warunków życia". Zgłasza się kilku. Dostają łopaty, grabie, miotły. Muszą porządkować całe otoczenie bloku. Skopali teren pod trawniki, zamietli drogi, wypielili chwasty - wszystko to wśród krzyków, bicia i wyśmiewania się z polskich uczonych.

Wywoływano tak dalsze grupy zawodowe. Mimo przykrych doświadczeń zawsze ktoś się zgłaszał. Jeśli się nie zgłaszali na ochotnika, brano pierwszych lepszych z szeregu do przeszkolenia. Blokowy musiał się wyżyć na więźniach, zaspokoić swoje sadystyczne zboczenia.

Karano każdą niesubordynację, każde najmniejsze uchybienie regulaminowi lagrowemu. Oto trzy przykłady: W czasie poszukiwania zbiega (był to Polak, nazwiskiem Owczarek) staliśmy przed blokiem dzień i noc. W nocy ktoś wskoczył do sypialni, wziął koc i owinął się nim. Zauważył to blokowy. Zabił, zakatował więźnia. Widziałem, jak wypisywał kopiowym ołówkiem numer na jego martwym ciele. Przedtem napluł w to miejsce. Marian Zawodny był tłumaczem. Za to, że śmiał podawać korzystne (zgodne z prawdą) dane na rzecz obwinionego, został poddany kilkakrotnie "sportowi", a za każdym razem, spoconego i zmęczonego oblewano silnym strumieniem zimnej wody.

Na kwarantannie uczono nas śpiewać, oczywiście po niemiecku. Kontrolowano postępy w nauce. Bito, gdy ktoś nie umiał słów. Ofiarowywano dzienną porcję chleba za naukę pieśni. Oczywiście chleba nikt nie brał. Kto znał jako tako niemiecki, przepisywał słowa na skrawkach papieru i rozdawał innym, wyjaśniając wymowę i znaczenie. Brałem w tym udział. Widziałem, z jakim trudem i wysiłkiem przyswajano sobie obce słowa. Szczególnie ciężko było ludziom starszym ze wsi, którzy po raz pierwszy zetknęli się z potrzebą nauki obcego języka i to w takim tempie.

Blok 65.

Po "przeszkoleniu" na kwarantannie zostaliśmy przerzuceni do dużego lagru. Dostałem się na skrzydło B baraku 65. Barak 65. był położony tuż pod murem - na przeciwległym końcu lagru, patrząc od bramy wejściowej. Za murem stale złowieszczco dymiło krematorium.

Blok polski. Niemcami byli tylko blokowy (Auerhan), dwóch sztabowych (Dworznik i Schneller), fryzjer (Max) i stary scheissmeister⁸ (Hugo). Razem pięciu na czterystu Polaków. Spaliśmy jeden obok drugiego na siennikach. Było tak ciasno, że wszyscy spali na tym samym boku - ściśnięci jak śledzie. Jeśli ktoś w nocy musiał wyjść do ubikacji, to jego miejsce zostawało jakoś wypełnione. Również ja przekonałem się o tym którejś nocy. Chciałem na siłę wcisnąć się na swoje miejsce, ale sąsiad mnie skopał i zmusił do położenia na podłodze w przejściu. Deptali po mnie. Potykali się. Nie spałem do rana.

Starałem się za wszelką cenę ograniczyć wychodzenie nocą, było to bowiem niebezpieczne - przechodziło się przez tzw. tagesraum⁹, w którym spał stubedienst¹⁰.

Po ciemku można było potrącić drzwi, szafkę, stół czy ławki i obudzić sztabowego. Mogło się to źle skończyć dla delikwenta. Mógł dostać porządne lanie albo mogli go złośliwie posądzić o kradzież chleba. Wtedy biada.

Widziałem, jak zabito młodego Polaka w umywalni. Mordowali razem blokowy Auerhan i sztabowy Hugo Dworznik. Obaj czerwoni, tzn. niby komuniści.

Padł wtedy na mnie strach. Przy mojej wadzie wzroku (kurza ślepotą) mogłem łatwo paść ofiarą obudzonego prominenta. Robiłem więc wszystko, co mogłem, by w nocy nie wychodzić. Nie było to takie proste przy tych wszystkich chorobach, a szczególnie przy przeziębionym pęcherzu lub bieguncie. Doznawałem często wielkiej udręki z powodu tej wady wzroku.

Pamiętam, jak chory więzień z gorączką, wychodząc do ustępu, zarzucił na siebie koc. Zauważył to sztabowy. Zbił go, a potem wysłał na ciężkie komando, z którego więzień nie wrócił.

Wstawanie w nocy przywołuje mi jeszcze jedno wspomnienie. Kiedy księżyc był w pełni, widać było w sypialni kłęzące sylwetki więźniów pogrążonych w modlitwie.

Był rok 1940. Rok największego nasilenia brutalności esesmanów. Szukano wtedy wszelkich pretekstów, by bić więźniów. Stwarzano warunki, aby pretekstów nie zabrakło. Wymagano przesadnej czystości w bloku, w szafkach, ślania łóżek pod kant, szorowania naczyń do połysku itp.

Do tego dochodziła musztra i śpiew. Wszystko to służyło zwyrodniałym przestępcom do stosowania odpowiedzialności zbiorowej i tworzenia piekła na ziemi. Ciągłe bicie, musztra, ograniczenia, zamykanie w bloku, zapędzanie do ubikacji itp.

Polak z historią

Spał koło mnie starszy kolega - był chudy, a twarz miał podobną do mongolskiej czy chińskiej. Po polsku mówił dziwnym dialektem. Przykrywaliśmy się wspólnie kocami. Przytulaliśmy się, bo była zima, a okna musiały być w nocy otwarte. Rano, kiedy budziliśmy się, koce były pokryte szronem i przymarznęte. Kolegę nazywaliśmy "Chińczykiem". Historia jego życia była tragiczna. Podobna do dziejów Polski z ostatnich dwóch wieków. Pochodził z rodziny zesłanych na Sybir. Potem ucieczka do Chin. Pracował w porcie. Oszczędzał, by mieć za co wrócić do ojczyzny. Zebrało się kilku jak on w Szanghaju. Kupili jacht. Oszczędności na nowe życie w Polsce zamienili na sztabki złota i przytwierdzili w zębie lub do wręgów. Żeglowali kilka miesięcy. Kiedy wybuchła wojna znajdowali się tuż, tuż od Rozewia. Niemcy jednak ich napadli, jacht skonfiskowali, a załogę wpakowali do obozu koncentracyjnego.

Nasz "Chińczyk" był sam. Może innych zabili, kiedy stawiali opór? Może specjalnie ich rozdzielili? Nasz "Chińczyk" często płakał. Przeżywał tragedię swego życia. O sobie nie chciał mówić. Nie nalegałem. Wkrótce znikł. Czy wykonano na nim wyrok? Nie wiem. Może wysłano go gdzieś na ciężkie komando, żeby się szybko wykończył. Przecież mógł mieć wtedy 65-70 lat. Gestapo zatarało kolejną zbrodnię.

Komando Klinkerwerk

W lagrze wszyscy musieli pracować. Arbeitsdienst¹¹ wraz ze starszą blokową przydzielali na różne komanda. Była to wielka loteria losu. Kto miał szczęście, dostawał pracę pod dachem w np.: Tischlerei¹², Schuhfabrik¹³, Kartoffelschäler¹⁴, Gärtnerei¹⁵ itp.

Ale były też komanda ciężkie i niebezpieczne. Miałem pecha. Trafiłem na Klinkerwerk¹⁶. Któregoś wieczoru zwrócił się do mnie starszy kolega z mojego flügla¹⁷ (Jan Gilowicz). Poprosił, bym go zastąpił w komandzie. Jest stary, ma schorowane nogi, a do pracy ponad trzy kilometry marszu w jedną stronę. Jakoś mnie wzruszył i nie mogłem odmówić. Blokowy skreślił jego numer i zapisał mój. Wtedy poznałem praktyczne znaczenie napisu na bramie obozu: "Arbeit macht frei". Po prostu praca zabijała i uwalniała od męki życia. Byłem przecież młody i wysportowany, kiedy aresztowało mnie gestapo. Po trzech miesiącach przyniesiono mnie z komanda kompletnie wykończonego. W drodze zasłabłem z wycieńczenia, i ani kroku dalej. Czterech kolegów ujęło mnie za ręce i nogi i zaniósło na plac apelowy. Położyli mnie na końcu kolumny. Podstawowe przyczyny mojej katastrofy: głodowe wyżywienie, liche ubranie, okres późnojesienny, chłód, wiatry, deszcz, niemożność wysuszenia ubrania na bloku, niedopasowane obuwie. Pracowało się w biegu. Równaliśmy teren pod budowę wielkiej cegielni. Biegając, pchaliśmy wózki (lorki) pełne ziemi. Wagoniki często spadały z szyn, szczególnie na rozjazdach. Dźwigaliśmy je na swoje miejsce, często załadowane piaskiem. Bicie z byle powodu, a nawet bez powodu - na pokaz przed esesmanem. Brak wypoczynku na bloku. Praca trwała około 12 godzin. Napięcie nerwowe. Ciągła czujność. Markowanie pracy groziło biciem. Jeśli ktoś nie chciał ryzykować i pracował zgodnie z wymaganiami - a więc ponad siły - szybko tracił kondycję.

Miałem wielokrotnie szczęście i nie dostałem bicia. Przykładowo na chwilę zmęczony oparłem się na łopacie i zacząłem pracować oczami, a już pędził do mnie vorman¹⁸ z trzonkiem od łopaty. W drodze nawinał mu się inny więzień. Wyżył się na nim. Ja dyskretnie zmieniłem miejsce pracy. Zasłoniłem się innymi więźniami i ustawiałem się tyłem. Udało się.

Innym razem byłem bardzo zmęczony i postanowiłem odpocząć na drążku latryny, markując załatwianie potrzeb fizjologicznych. W pewnej chwili usłyszałem szelest za przepierzeniem i zaraz wyskoczył scheissmeister, i zamierzył się łopata. Mierzył w głowę. W porę się schyliłem. Złapałem spodnie w garść, podciągnąłem i uciekłem na drugi koniec komanda. Inaczej, trafiony łopata wpadłbym do dołu kloaczego. Co by było dalej, lepiej nie myśleć.

Przyniesiony z pracy - jako kompletny muzułman¹⁹ - odbyłem apel wieczorny, leżąc na końcu kolumny bloku 65. Esesman skończył liczyć, kopnął mnie i zapytał blokowego: "Tot?"²⁰. Na odpowiedź: "Noch nicht!"²¹ krzyknął: "Mach ihn tot!"²².

Po zakończeniu apelu na rozkaz: "An Blocks weggetreten!"²³ więźniowie rzucili się biegiem do swoich bloków. W pośpiechu nie wszyscy koledzy zdążyli mnie ominąć lub przeskoczyć. Potracono mnie, podeptano drewniakami. Stubedienst z obowiązku zatrzymał się nad przyniesionymi z pracy. Mnie podnieśli Hugo Dworznik (sztubowy flügla A) i fryzjer blokowy Max. Wzięli pod ręce i zaprowadzili do rewiru. Byli to starzy więźniowie niemieccy, więc szybko dostali się do urzędującego lekarza. Rozmowa nade mną:

Lekarz: "Co mu brakuje?"

Hugo: "Zasłabł w pracy".

Lekarz: "Nie potrzebuję takich chorych. On jest całkiem zdrowy. Tacy są najlepsi" - i pokazał kilka trupów.

Hugo: "Niech pan pozwoli mu kilka dni poleżeć w szpitalu. To jest młodociany, bardzo dobry i wartościowy chłopak".

Lekarz ustąpił. W ten sposób znalazłem się na rewirze chwilowo uszczęśliwiony. Umierałem właściwie z głodu, wycieńczony pracą, zimnem.

Obok mnie leżał student z Czechosłowacji. Na skutek interwencji Háchy²⁴ Czeši dostawali raz w miesiącu jednokilogramowe paczki.

Po dwóch czy trzech dniach pobytu w rewirze zobaczyłem, jak mój sąsiad po kolacji wyjął swoje zawiniątko i wykrawał szczyrkami kawałki boczku czy słoniny, i je zjadał. Na ten widok wstrząsnęło mną pragnienie i z trudem wstrzymałem się od prośby. Jednak kątem oka obserwowałem szczęśliwca. W pewnej chwili doszedłem do wniosku, że Czech chce wyrzucić oczyszczoną skórę słoniny do kosza na śmiecie, więc powiedziałem mu, by skóry nie ciskał, lecz dał mnie. Ja ją dokładnie wyszę - jestem głodny i chudy. Stało się jednak inaczej. Odmówił. Doznałem szoku. Zacząłem się trząść z nerwów. Ubrałem pasiaki i korzystając z nieuwagi pielęgniarzy, uciekłem na blok 65. Myślałem, że na bloku czeka na mnie paczka. Przecież pisałem o nią do domu. Pisałem co prawda szyfrem i wiedziałem, że jest zakaz przysyłania paczek, ale głód jest złym doradcą. Naiwnie sądziłem, że dla mnie będzie jakiś wyjątek - stanie się po prostu cud. Zrobiłem wielkie głupstwo. Do szpitala już mnie nie przyjęto. Skrajnie wyczerpany pozostałem na bloku wśród pracujących.

Kilka lat później, już w Szwecji, Czeszka Ewa Weilowa, opowiadając swoje przeżycia w Oświęcimiu, skarżyła się w rozmowie. Jakiś Polak był niegrzeczny wobec jej rodziców. Opowiedziałem wtedy swoją przygodę z czeskim studentem. Przeprosiła mnie. Wraz z mężem odwiedziła mnie w Polsce na Dzielnej, a ja byłem u niej w Pradze.

Na kilku zjazdach w Sachsenhausen zawsze odszukiwałem Hugona Dworznika i wyrażałem mu wdzięczność za udaną interwencję u lekarza. Fryzjer Max zmarł wcześniej. Hugo w 1974 r.

Stół szósty Flügel B

Ze szpitala wróciłem do kolegów z bloku 65., flügel B stół 6. Zostałem życzliwą atmosferą. Przez kilka miesięcy wspólnej niedoli zaprzyjaźniłem się z wieloma kolegami. Widzieli, jak coraz bardziej słabną. Pomóc mi jednak nie mogli. Blokowy na interwencję czy na prośbę sztubowego zatrzymał mnie na bloku. Wykonywałem różne prace porządkowe i pomocnicze stubedienstu. To pozwoliło mi stopniowo dojść do równowagi psychicznej i nie pogłębiało kryzysu fizycznego.

Po ucieczce ze szpitala było ze mną bardzo kiepsko. Miałem lekkiego fioła. Zachowywałem się często nienormalnie. Mówiłem od rzeczy. Jadałem pod stołem na podłodze. Jednak młody organizm oraz współczucie i przychylność kolegów pozwoliły mi powoli przezwyciężyć kryzys. Potem dzięki pomocy kolegów dostałem się na komando Schuhfabrik. Praca pod dachem. Zmorą tego komanda był wielki kurz drzewny i praca w nocy.

Stołowym stołu 6. był Kazimierz Mirecki, a jego zastępcą Marian Bukietyński. Pozostali koledzy to: Piotr Grochmolicki, Stanisław Mielcarek, Tadeusz Werman, Edmund Milke, Stanisław Abraszewski, Sławomir Wyszowski, Stanisław Tyszkiewicz, Tadeusz Wojnar, Janusz Minkiewicz, Zbigniew Czarnocki, Kazimierz Jaworski, Stefan Rzepkiewicz, Józef Żak oraz przejściowo kilku innych.

Na piętnastu wymienionych żyje dziś, 2 kwietnia 1983 roku, pięciu. Są to: Kazimierz Mirecki - 86 lat, Marian Bukietyński - 75 lat, Zbigniew Czarnocki, Sławomir Wyszowski - 65 i Józef Żak. Z wyjątkiem Żaka, który był stolarzem i rolnikiem, inni to inteligencja. W grupie osób do 25 lat było nas siedmiu (w tym Żylski i Wojnar). Tyszkiewicz i Minkiewicz zostali wkrótce zakatowani, Wyszowski poszedł do Neuengamme. Szedł chętnie, bo stwierdził, że nigdzie indziej nie może być gorzej niż w Sachsenhausen. Ledwo wyszedł stamtąd z życiem. Czarnocki i Jaworski zostali zwolnieni po 19 miesiącach. Rodzice Czarnockiego pracowali w kierownictwie Instytutu Rolnictwa w Puławach, w instytucji potrzebnej Niemcom. Udało się im wyreklamować jedynaka. Żylskiego wyreklamował ojciec, który podpisał volkslistę²⁵ i zgodził się współpracę z okupantem. Zarówno ojciec, jak i syn zostali rozstrzelani z wyroku AK za zdradę i kolaborację. Opowiadał mi o tym Aleksander Kierek z Batalionów Chłopskich.

Jaworski natomiast wyszedł na wolność dzięki swojej matce. Był jedynakiem. Matka po jego aresztowaniu ciągle wysyłała listy do różnych osób i instytucji. Inteligentka znająca doskonale język niemiecki - pisała wytrwale. Miłość do syna czyniła jej listy mądrymi i wzruszającymi. Jeden z nich trafił na człowieka, chociaż noszącego mundur gestapo. Przed "KAJ-em" otworzyły się bramy Sachsenhausen. O swych wrażeniach w lagrze napisał w tomie "Serce za drutem".

Zbyszek Czarnocki nie dał się zastraszyć i poszedł do partyzantki, gdzie spisywał się dzielnie. W roku 1978 załatwił sobie weryfikację. Pomagałem mu w tym. Obecnie jest inżynierem w przemyśle samochodowym. Pracuje w Instytucie Transportu Samochodowego. W Sachsenhausen był bardzo młody. Miał zaledwie 16 lat.

O każdym z kolegów stołu nr 6 można by dużo napisać. Niektóre biografie byłyby bardzo ciekawe. Przyjaźniłem się z wieloma z nich. Najbardziej z Jaworskim, Abraszewskim, Wermanem, Milke, Walczakowskim - wszyscy nie żyją. Najdłużej, bo po dziś dzień (Wielkanoc 1983 roku) z Mireckim i Bukietyńskim. Mirecki mieszka we Wrocławiu. Ma już 86 lat. Dobrze się czuje, jeździ do córki w RFN, maluje obrazy. Bukietyńskiego mam pod ręką prawie na co dzień. Mieszka 10 minut drogi ode mnie. W okresie od późnej jesieni do wczesnej wiosny spotykamy się często. Gramy w tysiąca. A potem rozjeżdżamy się. Ja do Kazimierza, a on w Bory Tucholskie do Tlenia.

Kazimierz Jaworski - poeta, pisarz, tłumacz. Odbyliśmy wiele przeuroczych spotkań w jego mieszkaniu w Lublinie. Odczytywał swoje nowe, jeszcze nigdzie nie drukowane wiersze, głównie tatrzańskie. Był zapalonym taternikiem.

Miałem duże szczęście

Po wydostaniu się z kliniki zacząłem intensywnie rozglądać się, skąd by tu można dobrać trochę dodatkowego jedzenia. Czułem, że daleko nie ujadę. Z wycieńczenia ślaniałem się na nogach. Wokół panował głód i było niebezpiecznie. Była jesień 1940 roku. W ocenie najbliższego otoczenia skazany byłem na stracenie. Nie liczono się już ze mną. Któregoś dnia chciałem umyć kocioł po zupie obiadowej i w ten sposób zgarnąć ze ścian trochę jedzenia. Ale Władek Sasinowski odpędził mnie swym krzykiem. Ktoś silniejszy oczyścił kocioł za mnie.

Zbyszek Czarnocki skopał mnie w nocy, gdy wracałem z ubikacji i chciałem zająć swoje miejsce na prycy. Podobne fakty przygnębiały mnie jeszcze bardziej. Przecież to byli koledzy. Widocznie walka o przetrwanie stawała się coraz bardziej brutalna, a ze mną jako z tym, który niedługo się wykończy, można było się nie liczyć... Każdy czuł się źle i był zagrożony.

Kolejnym ostrzeżeniem było karne wysłanie Tyszkiewicza do któregoś z ciężkich komand, skąd po tygodniu przyszła wiadomość o jego śmierci. Krótko po Tyszkiewiczem zmarł w tutejszym szpitalu, od pobicia, Minkiewicz. Fakty te - przy moim kompletnym zmużeniu - działały destrukcyjnie na psychikę i podcinały wolę przetrwania.

Nadzieja przyszła zupełnie z innej strony. Brat Stanisław był jeńcem wojennym w Woldenbergu²⁶. Dostawał tam żołąd. Dzielił się ze mną. Uszyłem torebkę na pieniądze i nosiłem ją na szyi. Co miesiąc przybywało marek, lecz wydać ich nie miałem gdzie.

Zakupy w kantynie odbywały się rzadko i z reguły nie udawało się ich zrobić takim szeregowym więźniom jak ja. Wyjątki zdarzały się sporadycznie. Chleba nie kupiłem w kantynie ani razu. Raz dostałem czerwone buraki w occie i drobne rybki, też w occie, tzw. pikle. Potrawy te były tak ostre, że można było dostać skrętu kiszek po zjedzeniu większej ilości. Radosnym wyjątkiem było karo - słód jęczmienny. Więzień od zakupów przynosił kilka puszek na cały blok i kolejno sprzedawał. Przypadła mi w udziale jedna lub dwie ćwierćkilogramowe puszki. To wszystko przez pięć lat!

Głód doradzał (a jest złym doradcą) różne sposoby użycia napęczniałej sakiewki. W końcu zdecydowałem się pójść wieczorem na pierwszy ring²⁷, gdzie według uzyskanych informacji więźniowie Cyganie lub inni azo²⁸ (więzień z czarnym winklem) potajemnie handlowali.

Pełen napięcia i strachu, popychany przez głód, rozglądałem się dyskretnie i szedłem między rzędami baraków. Nagle podszedł do mnie jakiś azo i zapytał: "Czego szukasz?". Odpowiedziałem: "Chleba". "Zaczekaj - powiedział - przyniosę ci roboczą porcję. Przygotuj sześć marek". Drżąc, odliczyłem żadaną sumę i przechadzałem się w napięciu. Za chwilę azo wrócił i bez słowa załatwiliśmy transakcję.

Z duszą na ramieniu, zastanawiając się, czy to aby nie podstęp, biegłem do swego bloku. Wszedłem dyskretnie do sypialni, by szybko i bez świadków zjeść chleb. Odwinąłem zawiniątko i nagle trzymałem w ręku kawałek deski w kształcie kromki chleba. Oczom nie chciałem wierzyć...

Przy stole opowiedziałem swoją przygodę. Trochę chciałem się pożalić, trochę ostrzec kolegów przed takim handlem. Po kilku dniach podszedł do mnie Józef Żak, stolarz z Hrubieszowa, i powiedział: "Pracuję w stolarni, jest tam stary Niemiec, schorowany, nie zjada swoich porcji żywnościowych, on może sprzedać chleb". "Dobrze - powiedziałem - załatw mi to". Dałem mu sześć marek. Była sobota. Wieczorem Żak przyniósł chleb. Zamiast zjeść go od razu, schowałem go na niedzielę, kiedy dostawaliśmy najmniej jedzenia: rano tylko czystą kawę - lurę.

Miałem pecha. W naszej części baraku w nocy z soboty na niedzielę skradziono chleb. Poszkodowany zgłosił ten fakt do sztabowego. Rano zaczął się rwetes. Dochodzenie. Rewizje. Krzyki. Przekleństwa. W mojej szafce znaleziono całą porcję chleba. "Czyja?" - padło pytanie. "Moja" - odpowiedziałem. Zapytano przy moim stole, czy jadłem chleb na kolację. Powiedzieli - "Tak". "Więc skąd masz? Ukradłeś!" - posypały się pierwsze ciosy od sztabowego. "Nie ukradłem! Kupiłem!". "Každy złodziej tak mówi!". Sztabowy był silny i umiał zadawać ciosy. Zawirowało mi w głowie. Czułem silny ból w różnych częściach ciała. Zakrwawionego zaciągnęli mnie na flügel A, gdzie było kierownictwo bloku. Tu mi dołożyli. Powtarzałem w kółko: "Ich bin kein Dieb! Ich habe Brot gekauft!"²⁹. Siłą powstrzymali blokowego Auerhana. Zrobili to Ernst Schneller i Hugo Dworznik. Powiedzieli krótko: "Pomożemy ci go dobić, jeśli jest naprawdę złodziejem. Pozwólmy mu udowodnić, że tak nie jest. Nigdzie nam przecież nie ucieknie".

Zaczął się dochodzenie. Miałem świadków mojej rozmowy z Żakiem. Prosiłem go wtedy, by przypadkiem chleb nie pochodził z kradzieży. Zapewnił mnie o tym uroczyście.

Kiedy jednak wzięto go w krzyżowy ogień pytań, zaczął kluczyć, mówić inaczej. Chciał bym zmienić zeznania, że chleb dał mi od siebie. Wtedy stołowy Mirecki i Wojnar przypomnieli mu ręcznie, co mówił i o czym zapewniał.

A więc moje szanse rosły. Świłała nadzieja. Niemcy, którym tłumaczono na bieżąco rozmowy moje i kolegów z Żakiem - uwierzyli w moje tłumaczenie... A więc nie zabijają. Ale jeszcze nie popuścili. Awantura i bicie wybuchło ponownie, kiedy doszło do ich świadomości, ile zapłaciłem.

Blokowy wykrzykiwał: "Sześć marek za ćwierć kilo! To znaczy 24 marki za jeden kilogram! A cena obowiązująca to pół marki". Przepłaciłem 48 razy. "To jest szybung!³⁰ Cały lagier będzie kraść i przynosić ci chleb" - Auerhan znów wpadł w furję i zaczął mnie bić. Leżałem na podłodze i widziałem, jak go więźniowie odciągają ode mnie. Tłumaczają pobudki mego postępowania.

Blokowy w końcu wyznaczył braci Rychterów, by poszli na komando Żaka, odszukali Niemca i sprawdzili. Jeśli to złodziej, to sprawa odżyje na nowo.

Rychterowie (volksdeutsche z Łodzi) to sympatyczni i życzliwi mi współwięźniowie. Reinold próbował pisywać wiersze. Znał moje kontakty z Jaworskim i potrzebował mojego pośrednictwa.

Po kilku dniach Rychterowie złożyli raport blokowemu. O mnie wydali jak najlepszą opinię. Sprawa ucichła. Dostałem kolejną lekcję pogładową, gdzie się znajduję i jak trzeba być ostrożnym, by zachować życie.

Dworznikowi po wojnie miałem okazję podziękować na spotkaniach w Sachsenhausen. Zmarł w latach siedemdziesiątych. Natomiast Ernst Schneller - wraz z 27 innymi - został rozstrzelany w październiku 1944 roku. Z Żakiem widziałem się tylko raz na koleżeńskim spotkaniu w Lublinie. Dobrze wyglądał. Prowadził spore gospodarstwo rolne. Stolarzem był tylko w obozie.

Kupiłem mydło

Powoli ukształtowało się we mnie postanowienie: robić wszystko, co jest w mojej mocy, by przeżyć. Jeśli zabijają w wyniku jakiejś wpadki czy z innych powodów - to mówi się trudno. Była jednak cała szeroka rozpiętość działań zależnych ode mnie. Na przykład: utrzymanie czystości osobistej; częsta zmiana bielizny; hartowanie ciała przez mycie się rano do pasa, a wieczorem pod prysznicem; dyscyplina w odżywianiu się, tzn. nie jeść mimo głodu podejrzanych i nieświeżych produktów żywnościowych, nie pić wody w czasie choroby żołądka itd.

Nieprzestrzeganie powyższych wymagań działało deprymująco na stan psychiczny i groziło chorobą, np. biegunką, przeziębieniem. Do utrzymania czystości potrzebne było mydło. To, co dawali na miesiąc, nie wystarczało na tydzień.

"Panowie - powiedziałem kiedyś przy stole - gdzie można kupić mydło?". W odpowiedzi trącił mnie dyskretnie Stanisław Mielcarek i szepnął: "Dostaniesz ode mnie". "Ile?" - zapytałem. "Jedna marka za kawałek". Kiwnąłem głową na zgodę.

Transakcja doszła do skutku. Ucieszyłem się. Trochę się zdziwiłem, dlaczego tyle ostrożności zachował Mielcarek przy tak drobnej i chyba bezpiecznej sprzedaży. Tłumaczyłem to sobie jego starszym wiekiem i wielkim zdyscyplinowaniem, jakie nabył służąc zawodowo w wojsku, najpierw w pruskim, a w okresie międzywojennym w polskim, gdzie dorobił się stopnia kapitana. W 1939 roku bronił Modlina.

Po krótkiej refleksji zająłem się czyszczeniem szafki, a potem praniem w waschraumie, po czym poszedłem spać. Obok mnie w tym samym łóżku leżał Jaworski. Przed uśnięciem jak zwykle rozmowa o tym, co się działo w ciągu dnia, i o poezji.

Obudziły mnie hałasy i natrętnie wywoływany numer:

"Sechszundzwanzigtausendvierhundertsechszundachtzig". Uświadomiłem sobie nagle, że to przecież mój numer obozowy 26486.

Noc. Każą wyjść do tagesraumu. Strach mną zaczął trząść. Zawołałem głośno: "Hier, ich komme schon!"³¹. Podciągając dolną część piżamy i upychając w nią górną, wyszedłem z ciemności ku światłu. Ku mojemu nieopisanemu zdziwieniu w izbie kupa luda z esesmanem i lagerältesterem.

Nagłe obudzenie, uderzenie światła i to wielkie zagrożenie. Czego ode mnie chcą? Wyrok, transport, zwolnienie, bunkier czy jeszcze coś innego mnie czeka? Byłem pełen złych przeczuć. Popychany przez sztubowego znalazłem się nagle przed swoją szafką. "Ist das dein Schrank?"³² - usłyszałem. "Jawohl"³³ - wykrztusiłem. "Das ist deine Seife?"³⁴. "Jawohl" - potwierdziłem.

Coś się stało? Dlaczego interesuje ich moje mydło? To przecież drobna sprawa. Ochłonałem ze strachu i już z nadzieją odpowiadałem na pytania.

"Skąd masz to mydło?" - chcieli wiedzieć. Czy mogłem wydać starszego kolegę? Narazić go może na dochodzenia i kary? Wyszedłbym przed kolegami na słabeusza. I nagle przyszła mi na myśl historia kupna chleba. "Los!" - ponaglali. "Kupiłem" - odpowiedziałem. "Od kogo i gdzie?" "Od azo na pierwszym ringu. Wieczorem" - odpowiedziałem, jękając się ze strachu. "Jutro pokażemy ci wszystkich azo i będziesz musiał powiedzieć, który to był. Jeśli nie rozpoznasz, to idziesz do karnej kompanii".

Jakoś nie zbili mnie tym razem. Nie scholerowali zbyt wiele. Może mój mizerny wygląd i perspektywa czekającego mnie karnego komanda dały im już satysfakcję. Poszli do innych bloków.

Nie spałem do rana. Myślałem, co robić. Postawią przede mną azo. Około trzystu więźniów. Wskażę na kogoś na chybił trafił, a ten będzie miał 100% alibi. Wtedy dojdzie kara za kłamstwo, a może i zemsta wskazanego...

Rano po pobudce poszedłem do Hugona Dworzniaka. Powiedziałem, jakie pobudki mną kierowały. Przecież to jest Kameradschaft³⁵, tak wysoko ceniona wśród niemieckich komunistów. Zaprowadziłem do Mielcarka. Potwierdził wszystko.

Hugo kłął na mnie i narzekał, jak to ciągle mu przysparzam kłopotów, ale w końcu obiecał pójść do schreibstuby³⁶ i jakoś załatwić sprawę.

Dzień pracy dłużył mi się jak nigdy. Nie mogłem doczekać się wieczornego apelu. Dopadłem w końcu Hugona. "No, udało się Ceslaus - powiedział - tylko więcej żadnych takich kawałów". Podziękowałem i przyrzekłem. "Ale powiedz Hugo, co to było?" - zapytałem.

Okazało się, że był pożar magazynów. Skradziono przy tym m.in. sporo mydła. Po numerach wytłoczonych na mydle doszli, że moje mydło pochodziło z kradzieży. A kradzież w czasie pożaru to jedno z największych przestępstw. Kto kradnie, zamiast gasić, jest zbrodniarzem. Zasluguje na największy wymiar kary.

Kąpiel z blokiem młodocianych

Organizowałem dodatkową bieliznę, mydło, jedzenie. Przyszła kolej na ciepłe kąpiele. Pot, upał, kurz, błoto, deszcz itp. Warunki w pracy wymagały częstych kąpieli z mydłem w ciepłej wodzie. Bez tego pewna wszawica, świerzby lub inne choroby skóry.

Do ciepłej kąpieli w specjalnym baraku prowadzono nas blokami raz na miesiąc. Na bloku 65. była tylko zimna woda i panował tłok. Brałem więc ręcznik i mydło i szedłem w pobliże łaźni. Jeśli bloki ustawiały się do kąpieli, to dyskretnie, by nikt tego nie zauważył, wchodziłem w szeregi i już dalej szło wszystko utartym trybem.

Ale kiedyś przyszedłem, a tu stoją młodociani. Był wieczór. Trochę się pochyliłem i zmieszałem z chłopcami. Weszliśmy do środka łaźni. Wrzaski, popychania - jak to wśród młodych. Kiedy jednak chlusnęła gorąca woda z pryszniców, chłopcy w popłochu puciekali pod ściany.

Zostałem sam na środku. Łapałem bryzgi gorącej wody i mydliłem się solidnie. Zmieniono temperaturę. Chłopcy zaczęli się powoli myć. Zbliżał się koniec kąpieli. Odkręcono zimną wodę. Znow wrzask i środek pusty. Zostałem sam. Chciałem się zahartować, uodpornić przeciwko przeziębieniu.

I wtedy nagle podszedł do mnie vorarbeiter³⁷ łaźni (bademeister³⁸) i wrogo mnie zapytał: "Bist du Jugendlicher?"³⁹. "Nein!" - bałem się skłamać. Wolałem być ukarany za moje przewinienie, niż za kłamstwo. Jak tylko umiałem najuprzejmiej powiedziałem: "Przepraszam, więcej już nie będę". Wykręciłem się i z duszą na ramieniu odszedłem. Niemiec był tak zaskoczony moim zachowaniem, że przez chwilę stał nieruchomy, zanim wrócił do swoich "jugendliche".

Dzięki organizowaniu dodatkowej bielizny i kąpieli uchroniłem się od wszelkich chorób skórnych (kreca⁴⁰, wrzody, liszaje i inne) i nie przeziębiałem się tak często. Nie chorowałem też na tyfus, pomimo dwóch epidemii.

Worki cementu

Arbeitsinsatz (ktoś z biura zatrudnienia) złapał mnie za rękę i powiedział: "Komm mit!"⁴¹. Poszedłem. Na pewno nic dobrego. Tam gdzie jest znośnie, nigdy nie brakuje stanu. Zdziwienie się zwiększyło, kiedy poprowadzono nas za bramę. "Dokąd?" - zapytałem sąsiada. "O nic nie pytaj, tylko uważaj" - odburknął. Zaprowadzono nas na tzw. bauhof⁴². Rozdzielono prace. Wraz z kilkoma więźniami zostałem przydzielony do starej stodoły, która służyła za magazyn materiałów budowlanych. Było w niej dość ciemno.

Ku naszemu zdziwieniu zaczęliśmy przenosić worki z cementem z jednego zapola do drugiego. Nad klepiskiem przerzucono kładkę na wysokości może jednego metra, do której przystawiono namiastkę schodów. Dlaczego przekładano cement, nie dowiedzieliśmy się. Nam wydawało się, że to głupiego robota dla umęczenia więźniów.

Dwóch zakładało mi worek cementu (50 kg) na plecy. Łapałem go za rogi i nachylony wchodziłem z trudem na kładkę. Tu w wielkim napięciu - bo deska była chybota - przechodziłem na drugie zapole i tam pod ścianą układało się równe warstwy.

Chcieliśmy omijać kładkę. Podnosić we dwóch worek i przekazywać innym. Ci przenosiliby przez klepisko i przekazywali następnym. Zawsze dwóch borykałoby się z workiem cementu z omijaniem uginającej się kładki. Ale vorman tylko wrzasnął, że esesman to wymyślił i on tego nie będzie zmieniać. Gromkie "weitermachen!"⁴³ zakończyło dyskusję. Po godzinie noszenia byłem już wykończony, dostałem zawrotów głowy. Z trudem przechodziliśmy ponad klepiskiem. Serce waliło jak młotem. Czułem, że przy następnym worku zwalę się w dół.

Ale znow miałem szczęście. Na miejsce pracy przybył vorarbeiter. Kontrolował nas. Zauważył mój wygląd i krzyknął do vormana: "Der ist ganz schwach geworden"⁴⁴. Wymienić!".

Stanąłem do podawania worków. Było już lżej. Wytrzymałem do apelu. Kilku z innych miejsc pracy nie mogło przyjść na plac apelowy o własnych siłach.

Budowa Hühnerfarm

Zacząłem rozglądać się gorączkowo za jakimś stałym lżejszym komandem. Rozmawiałem z kolegami. Prosiłem stubedienst. Ale zanim zrealizowali swoje obietniczki, znow kupili mnie do stehkomando. Dołączono mnie do grupy około pięćdziesięciu więźniów i pognano gdzieś w pobliże obozu. Budowano tam farmę kurzą. Kazano nam wykładać kostkami z kamienia duże wgłębienie. Kostki były duże i ciężkie. Około 20 kg każda. Nosiliśmy je na plecach lub ramionach na odległość ca 70 m. Inni układali powierzchnie boczne przyszłego basenu (cembrowanie). Robota trudna. Kamienie mocno ciążyły i piłowały. Mogły spaść na stopę lub kolano. Kapo poganiali. Ale piekło zaczęło się, gdy na teren wszedł esesman z psem. Pamiętam wysoką sylwetkę w skórzanym płaszczu. Po komandzie poszedł szept ostrzegawczy i jednocześnie postacie więźniów ożywiły się jeszcze bardziej. Wszyscy robili wysiłki, aby nie podpaść, by nie być ostatnim, nie wpaść w oko esesmanowi. Niektórzy zaczęli biegać. A ten milcząco, z kamienną twarzą upatrywał ofiary.

I nagle za moimi plecami podniósł się krzyk bólu, skowyt człowieka gryzionego przez psa. Zerwałem się do biegu. Minąłem kilku więźniów. Byłem silniejszy.

I znow esesman poszczuł wilczura. Krzyk bólu. Kątem oka zobaczyłem więźnia upadającego z kamieniem. Pies zatopił zęby w jego pośladkach. Odwróciłem głowę i biegłem co sił dalej.

Esesman po kilku takich ofiarach nasycił swój sadyzm i poszedł na inne komando. Na placu apelowym złożyliśmy kilku rannych kolegów. Część pogryzionych przyszło o własnych siłach.

Coraz natarczywiej zabiegałem o stałe komando pod dachem. Inaczej stałbym się igraszką złego losu.

Shczęście przecież mogło mnie opuścić. Nim przyszło to wymarzone schuhfabrik, "kupowano" mnie nadal do sporadycznych prac. Opowiem jeszcze o trzech.

Porządkowanie biur IKL

Tym razem mój blokowy dostał polecenie dostarczenia kogoś ze stubendienstu. Wyzaczył mnie. Zaprowadził do grupy na placu i oddał w ręce vorarbeitera. Poszliśmy za bramę. Zatrzymano nas przed dużym biurowcem z napisem: "Inspektion der Konzentrationslager45". Była to więc jednostka nadzorująca wszystkie obozy koncentracyjne w III Rzeszy.

Teraz rozumiałem, dlaczego nasz vorarbeiter nie przyjął więźnia, który miał zniszczone i brudne ubranie. Nakazano nam czujność i pilną pracę, by komando nie podpadło. Inaczej biada. Dano nam miotły, szczotki, trzepaczki itp. Mieliśmy zrobić porządek w korytarzach, hollach, ubikacjach i innych pomieszczeniach - wszędzie z wyjątkiem samych biur. Praca szła sprawnie. Poganiał nas nieźle vorarbeiter.

Pracowałem wtedy na trzecim piętrze. Czyściłem okna. Upokarzała mnie ta praca służebna dla wroga. Dokuczał mi głód. Czułem się przemęczony. Nagle otworzyły się drzwi naprzeciwko. Wyszedł esesman wysokiej rangi. Rozejrzał się wkoło. Zwrócił się do mnie przez "pan" i grzecznie poprosił, bym zrobił porządek w ich biurze. Wyjaśnił przy tym, że pani, która to zwykle robi, zachorowała.

Wszedłem do środka. Urzędowało tam czterech esesmanów. Zacząłem od zlewozmywaka i wtedy zaterkotał telefon. Jeden z esesmanów wyszedł. Po minucie czy dwóch wyszedł następny esesman. Zaświtała mi myśl, że jeśli zostanie jeden esesman, to poproszę go o chleb. Przedłużałem specjalnie porządkowanie. I rzeczywiście za biurkiem pozostał tylko ten, co mnie wezwał. Wtedy odwróciłem się i zapominając o konwenansach, zapytałem wprost: "Hast du vielleicht zuviel Brot?"⁴⁶. Myślałem, że mnie trzaśnie, wyprowadzi z krzykiem do kapo z poleceniem, by mnie odpowiednio ukarał.

A ten nic. Wstał, chwilę milczał, jakby go zaskoczyła moja bezczelność, następnie spojrzał współczująco i powiedział: "Niech pan idzie do ustępu, tam coś przyniosę". Błyskawicznie skończyłem "sauber machen"⁴⁷ i wyszedłem. Nie wiem, czy było mnie stać wtedy na "dziękuję", czy na "do widzenia". W ubikacji było już pełno więźniów. Skończyli swoje prace i tam wyznaczono zbiórkę przed wymarszem.

Zastanawiałem się, czy powiedzieć o mojej przygodzie kapo? Jeśli esesman wejdzie, czy mnie pozna? Stałem w napięciu oknem wpatrzony w drzwi. Drzwi otwierały się często, ale wchodzili i wychodzili tylko więźniowie. Zacząłem wątpić. Aż tu nareszcie "mój esesman". Stanął w progu. Był jakoś zaskoczony sytuacją. Rozglądał się i chyba mnie szukał. Ruszyłem szybko do niego, rozpychając innych. Ale kapo (chyba Reiniger) był szybszy. Stanął przed esesmanem. Podał liczbę więźniów i zameldował przepisowo, że komando takie a takie gotowe jest do odejścia.

Esesman jeszcze bardziej się stropił. Przecież robił coś, czym mógł się narazić w oczach przełożonych. Ale widocznie był w nim jeszcze człowiek. Wreszcie podjął decyzję. Dał kapo trzy małe bułeczki i powiedział: "Podzielcie się". Odszedł.

Nie widziałem, jak kapo dzielił. W każdym razie do mnie nic nie dotarło. Podniecony tym incydentem wracałem do lagru.

Komando Kartoffelschäler⁴⁸

Głód zapędzał mnie w poblizze kuchni. Stamtąd rozchodziły się zapachy i roznoszono życiodajne kotły z jedzeniem. A może coś się znajdzie? Kocioł się rozleje lub z wozu coś spadnie? I choć miałem świeżo w pamięci "słupek", jaki zarobił kolega z flügla A, Witold Niewitecki, to jednak codziennie krążyłem w okolicach kuchni. Czekałem na okazję.

Niewitecki szedł w oddali za rollwagą⁴⁹, która wiozła warzywa do kuchni. Ktoś z ciągnących, może umyślnie, zrzucił z wozu marchewkę, a może sama spadła. Witek tylko na to czekał. Podniósł marchew i zaczął ją jeść, szybko odchodząc między baraki. Nagle esesman na rowerze zajechał mu drogę. Krzyknął: "Halt!"⁵⁰ i wyjął notes i pióro. Zapisał tylko numer więźnia i powiedział: "Hau ab!"⁵¹. Przerażony Niewitecki wrócił na blok. Pisarz blokowy poinformował go, że esesman po prostu złoży meldunek z wnioskiem o ukaranie, np. 25 plag na tyłek.

Esesmani przez okna komendantury lustrują teren obozu za pomocą lornetek. Jeśli coś zauważą, to reagują natychmiast.

Po kilku dniach wywołano Witka i zaprowadzono do tej części obozu, gdzie znajdowały się bunkry, i zastosowano karę słupek. Wisiał biedak na wykręconych w tył rękach przez pół godziny. Przez wiele dni nie mógł nic robić. Korzystał z pomocy kolegów. Przy jedzeniu karmiono go.

Tymczasem znalazłem się wśród kartoflarzy. Siedziałem wraz innymi w piwnicach kuchni i obierałem lub skrobałem. Zdawało mi się początkowo, że złapałem Pana Boga za nogi. Pod dachem, ciepło. Praca siedząca. Ale po kilku dniach uciekłem z komanda Kartoffelschäler. Głód kazał mi - tak jak i innym - rwać kęsy surowych jarzyn i w pośpiechu zjadać. Właśnie ten pośpiech i ta surowizna wykańczały więźniów.

Vorman pilnował nas. Jak tylko zauważył, że ktoś rusza żuchwą, bił pałką gdzie popadło, a po kilku takich wpadkach wywalał z komanda na zbity pysk.

Mnie nie złapał ani razu. Ale złapało mnie coś gorszego: po prostu wielka sraczka. Nieprzyzwyczajony do jedzenia surowych kartofli dostałem silnego rozstroju żołądka tzw. durchfallu⁵². Łało się ze mnie. Organizm odwadniał się. Śmierdziałem. Koledzy nie puścili mnie więcej do obieraczy. Mieli rację. Zająłem się leczeniem. Zupę oddawałem za kawałek chleba. Chleb suszyłem. Żułem go długo, nim przełknąłem. Mięksiz chleba zamieniałem na skórki. Do takiej transakcji bywał często proszony vorarbiter. Najczęściej sam zdawałem sobie sprawę, że muszę być stratny przy tych wymianach. To ja byłem zainteresowany. Przez 24 godziny nie przełknąłem żadnego płynu. Zapieкло się jakoś we mnie. Kryzys minął po trzech dniach. Duża lekcja.

Pożar w magazynach

Wracaliśmy z waldkomando⁵³ 2. Nagle zawyły syreny straży pożarnej. Komandoführer⁵⁴ przyspieszył marsz kolumny. Potem zbczyliśmy z drogi. Ukazały się dymy. Paliły się magazyny paszy dla bydła. Dostaliśmy rozkaz gaszenia ognia. Jedni nosili wodę wiaderkami z pobliskiego kanału. Inni rozrzucaли i deptali płonące lub żarzące się części magazynów (baraków). Paliły się też suszone buraki, kartofle, marchew.

Więźniowie, choć zmęczeni pracą, jakoś poderwali się do gaszenia i dość skutecznie tłumili żywioł. Nagle ktoś mnie trącił i pokazał ręką. Tego nie gaś! W środku są kartofle, dostaniesz swoją dolę. Pilnuj. Byłem zaskoczony. Zdażyli pomyśleć i znaleźć świeże kartofle. To jest zmysł organizacji u wygłodzonych więźniów. Przebiegając teraz koło ukrytych kartofli, narzucałem na nie żarzące się węgle. Czy tylko wystarczy czasu? Czy zdażą się upiec? Czy można zwolnić gaszenie? Jak zauważą, to posądzą o sabotaż.

Esesmani byli zadowoleni z pomocy więźniów w akcji gaszenia. Widać to było po ich minach i słycać w słowach. Sami brali udział w tłumieniu ognia. Rwali bosakami baraki. Lali wodę kubekami. Zaczęli w końcu nawoływać do odwrotu i zbiórki.

Jeden z esesmanów znalazł się nagle w pobliżu kartofli. Zaczął krzyczeć: "Ihr verfluchte Idioten!⁵⁵ Dlaczego nie gasicie?". I całą siłą kopnął wzgórek żarzących się głowni. Rozleciały się razem z kartoflami. Esesman zobaczył i zrozumiał. Początkowo zatkało go. Potem jakoś się zreflektował. Zwrócił się do najbliższego więźnia i łagodnie powiedział: "Machen Sie weiter, aber schnell!"⁵⁶

Skoczyłem i ja do ogniska. Zgarnęliśmy z powrotem kartofle i przykryliśmy żarem. Na niedługo jednak. Całość akcji gaszenia zakończyła się. Odwołano i nas. W pośpiechu wybieraliśmy kartofle i upychaliśmy po kieszeniach. Parzyły nas.

Ponieważ baliśmy się rewizji na bramie, zaczęliśmy jeść te kartofle. Oczywiście skrycie, nerwowo. Były gorące i niedopieczone. Do lagru był jeszcze z kilometr. Poparzyłem sobie usta i przewód pokarmowy. Psychicznie też byłem przygnębiony, bo wiedziałem, że źle robię. Nie powstrzymało to mnie przed zjedzeniem całych kartofli wraz z jeszcze twardym środkiem. Rozsądek nakazywał, żeby zjeść tylko warstwę wierzchnią kartofla, która była upieczona. Skutki przyszły szybko. Znow silne rozwolnienie. Odwodnienie i osłabienie organizmu. Z radością więc przyjąłem wiadomość na bloku, że na stałe idę do komanda schuhfabrik.

Schuhfabrik

Komando to załatwił mi Tadek Werman. Pracował tam od roku. Przy stole na bloku 65. wypowiadał się pozytywnie o warunkach i stosunkach, jakie istnieją w fabryce obuwia. Sporo było w niej Czechów, co już dobrze świadczyło o komandzie.

Tadek przyjaźnił się z Niemcem Herbertem, który miał dostęp do arbeitseinsatz⁵⁷ i tą drogą załatwił mi przeniesienie. Tadek pomógł mi też bezkolizyjnie wdrożyć się do wykonywania dziennej normy. Pokazał ludzi złych i dobrych. A to już było dużo.

Schuhfabrik była dużym komandem i mieściło się w wielu barakach na tzw. industriehofie⁵⁸. Mnie przypadło wycinanie na pile taśmowej dwustu par drewnianych zelówek. Najpierw z klocka wycinało się kształt stopy, a potem zelówki z obcasem. Były odpowiednie szablony. Kopiowy ołówek na mokrym przeważnie drewnie odznaczał się bardzo wyraźnie. Do przykrych i niebezpiecznych elementów pracy należał kurz, źle lutowane pęknięcia pił i brak snu.

Przeważnie miałem nocne zmiany. Okna były pozamykane szczelnie. Obowiązywało kompletne zaciemnienie, trwały już bowiem naloty na Berlin. Kilka pił taśmowych rznęło drewno obok siebie. Kurz z trocin ogromny. Wyciągów czy jakiegis innej wentylacji nie stosowano. Po godzinie wycinania trociny były wszędzie. Nos robił się jakiś sztywny. Oddychałem tylko nosem, by najmniej kurzu wpuścić do płuc. Patrzyłem przymrużonymi oczyma, by chronić oczy. Ubranie miałem białe jak u młynarza. Przyjemny był tylko zapach drewna.

Różne były zdania na temat szkodliwości pyłu drzewnego. Wszyscy byli zgodni, że pył w młynie jest bardziej szkodliwy. Mała to była pociecha. Kurz mocno psuł nam samopoczucie.

W moim przekonaniu kurz w schuhfabrik przyczynił się znacznie do powstania czy rozwoju gruźlicy płuc, którą leczyłem później w Szwecji. Drugim zmartwieniem było bicie piły w wycinane drewno. Piły były z reguły stare, porwane i czasami wielokrotnie lutowane, a miejsca łączyń szersze od grubości piły. Te zgrubienia biły o drewno i szarpały klocek trzymany w rękach. W razie pęknięcia piły, co zdarzało się niejednokrotnie, raniła ona rękę lub twarz. Dlatego pracowało się w wielkim napięciu i strachu.

Ciągle lataliśmy do warsztatu, gdzie lutowano. Interwencje mało skutkowały. Pracowali tam też więźniowie, którzy często nie mieli najmniejszego przygotowania. Po prostu zadekowali się w dobrym komandzie.

Tadek Werman zanosił pęknięte piły do ślusarzy i robił im awantury. Ciągnął, by sami porznęli trochę i zobaczyli jak partacza. Jednak vorman u ślusarzy był Niemcem i miał poparcie u vorarbeitera, więc dalej lutowali po swojemu.

Każdy z nas znajdował własną receptę, by wyjść na swoje, tzn. zrobić normę, nie pokaleczyć się i utrzymać się na komandzie. Po pierwsze przechowywaliśmy w ukryciu dobre piły, bo i takie się zdarzały. Następnie sami, zorganizowanym pilnikiem lub kamieniem ściernym, zmniejszaliśmy grubość miejsca łączenia.

Współpracowałem ze starszym Czechem w ten sposób, że jeśli on miał dobrą piłę, a ja złą, to on robił dla mnie część normy. Odrabiałem to potem.

Schuhfabrik uchodziło mimo wszystko za dobre komando. Najwięcej rozgłosu przysparzała mu sprawa złota, kosztowności i pieniędzy. Jeden z oddziałów rozpruwał obuwie po pomordowanych. W industriehofie sterczała olbrzymia hałda butów. Ciągłe je dowozili. Było to obuwie na każdy wiek, płeć i porę roku.

Pruto obuwie. Z poszczególnych elementów skóry po pewnych zabiegach i selekcji szyto nowe cholewki i robiono całe drewniaki. Właśnie rozpruwacze butów znajdowali różne kosztowności zaszyte w cholewkach lub ukryte w obcasach czy zelówkach. Powstawały powiązania między esesmanami i więźniami. Była to niebezpieczna gra. W końcu przyjechała specjalna komisja śledcza z Berlina. Wymierzono wiele kar, w tym wyroki śmierci. Pamiętam młodego chłopaka z mojego bloku 65., który pracował w schuhfabrik. Z wyglądu był podobny do pomocnika szewskiego. Na tyle był nieostrożny i naiwny, że chwalił się i pokazywał w baraku złote pierścionki, broszki, drogie kamienie. W okresie działania komisji śledczej znikł nagle i więcej go nie widziałem. Schuhfabrik pozwoliła mi stanąć na nogi. Pomogły też paczki z domu. Zacząłem rozglądać się za innym miejscem pracy. Bałem się pylicy płuc i innych chorób.

Był rok 1943. Szala zwycięstwa przechyliła się wyraźnie na stronę aliantów. Myśl o powrocie do kraju stawała się realna.

Wśród Polaków powstało wtedy hasło: "Uczmy się na wrogu, byśmy mogli być przydatni przy odbudowie kraju". W obecności kolegów wyraziłem pogląd, że chętnie poszedłbym pracować do fabryki jako ślusarz, tokarz, spawacz, czyli do pracy związanej z moim zawodem. Potrzebne mi to było dla równowagi psychicznej, do poprawienia samopoczucia. Po moim oświadczeniu zaczęła się ożywiona dyskusja. Oto jej próbki:

Tadek Werman: "Przemysł będą coraz bardziej bombardować. Zginiesz marnie przy pierwszym nalocie".

Stach Abraszewski: "Wszędzie można zginąć. Nieprzydatnych dla III Rzeszy będą niszczyć jako zbędny balast. Przemysł będzie chronić pracowników do ostatka".

Marian Bukietyński: "Pracując w przemyśle, będzie pracował dla wroga. Czy to patriotycznie? Czy moralnie wobec ojczyzny?".

Piotr Grochmolicki: "Wszyscy obecni pracujemy dla wroga. W Polsce wiele fabryk produkuje dla Niemiec, wytwarza nawet broń i amunicję. Nic już Hitlera od klęski nie uchroni. Czesław ma rację. Jeśli wróci do kraju, to zacznie pracować z większą praktyką i pożytkiem".

Od tej dyskusji minęło sporo czasu, może miesiąc, może więcej. Życie w lagrze płynęło szybkim nurtem. A tymczasem, pewnego dnia:

Komando Heinkel

Było właśnie śniadanie. Przez gwar rozmów doleciały do mnie krzyki blokowego: "Iberscer, Iberscer, wo ist der Kerl?"⁵⁹. Blokowy szedł ze skrzydła A do B, a mój szósty stół był tuż przy drzwiach. Mirecki, jako starszy stołu, poderwał się i złapał mnie za ramię: "Czesiek, to do ciebie. Co się stało? Coś znowu przeskrobałeś?". Ale blokowy był już przy mnie: "Heute keine Arbeit! Gehst du ans Tor!"⁶⁰. I poszedł dalej do sztabowego. Blokowi mieli codziennie rano odprawę w schreibstubbie, gdzie otrzymywali różne polecenia i informacje. Przy stole konsternacja. Wszyscy przestali jeść i wpatrywali się we mnie. Pode mną nogi zaczęły jakoś drżeć, a w głowie burza myśli. Wyrok? Zwolnienie?

Koledzy otoczyli mnie ciasnym kołem. Pełno pytań, a przede wszystkim próśb. Chcieli bym odwiedził ich rodziny... Marian Zawodny zaczął mnie uspokajać - inaczej zawiadamia się tych, co idą na rozwałkę, a

jeszcze inaczej tych, co uzyskują wolność. "Czešku! Z tobą musi być całkiem coś innego. Nie bój się. Głowa do góry". Do Mariana miałem bezgraniczne zaufanie. Jego optymizm zaczął na mnie działać kojąco. Jeśli stanie się to najgorsze, to i tak nic mi nie pomoże.

Apel odbył się normalnie. Po komendzie: "An Arbeitskommando weggetreten!"⁶¹ podszedł do mnie blokowy i powiedział: "Komm mit!"⁶². Poszedłem. Poprowadził mnie pod bramę z prawej strony. Kazał stanąć tyłem do placu i czekać, aż ktoś się po mnie zgłosi.

Odżyły najgorsze przypuszczenia. W podnieceniu nie byłem pewny tego, o czym się często w lagrze mówiło: więźniowie, którzy stoją z lewej strony bramy, mają wyroki - ci, którzy z prawej, idą na wolność. Starłem się przypomnieć sobie, ale nie mogłem się uspokoić. Z trudem stałem. Przede mną wysoki mur więzienny, a przed nim druty kolczaste pod prądem. Odpędzałem natrętną myśl, by skoczyć dwa kroki do przodu i skończyć z tą makabrą.

Za mną wrzało. Kolumny robocze ustawiały się biegiem. Vorarbeiterzy pokrzykiwali. Przez bramę zaczęły wychodzić komanda, uderzając rytmicznie butami. Plac pustoszał. Stałem długo i zacząłem się już pocieszać: "Może zapomnieli o mnie? Może to pomyłka? I... wrócę spokojnie na blok".

W pewnej chwili usłyszałem zbliżające się kroki i usłyszałem: "Kommen Sie mit!"⁶³. Odwróciłem się. Przede mną stał esesman. Sprawdził numer i nazwisko i kazał iść za sobą...

Nagle ogarnęła mnie wewnętrzna radość. Przypomniałem sobie historię z Bronkiem Głębem. Było to ponad dwa lata temu. Otóż Bronek, który nie orientował się w mojej sytuacji, przysłał mi do Sachsenhausen zdjęcie ślubne. Ponieważ żadnych fotografii do lagru nie wolno było nadsyłać, wezwano mnie do biura (za bramę), gdzie pokazano mi uśmiechniętą parę. Krew mnie wtedy zalała. Wściekły byłem wtedy na najlepszego kolegę. Nigdy się nie dowiedział, ile mi tym listem napędził strachu.

Teraz kurczowo chwyciłem się myśli, że to może drobiazg. Szedłem za esesmanem raz pełen złych przeczuć, to znowu z nadzieją. Esesman ominął jakiś barak i wszedł do środka następnego. Długi korytarz. Drzwi pootwierane, za biurkami wielu esesmanów.

W końcu przedstawił mnie właściwemu kierownikowi. Uderzyła mnie elegancja, z jaką mnie zaprezentował. Po oględzinach zewnętrznych padło pytanie: "Sind Sie ein Techniker?"⁶⁴. "Jawohl" - odpowiedziałem.

"Bestanden?"⁶⁵ - chciał wiedzieć szef biura. Nie rozumiałem tego wyrazu. Zdawałem sobie sprawę, że muszę wiedzieć, czemu przytakuję, a czemu zaprzeczam. Od tego może dużo zależeć. Poprosiłem więc, by wyraz "bestanden" zastąpiono innymi słowami lub przetłumaczono. "Tak" - odpowiedziałem - ukończyłem wyższą uczelnię techniczną". "Pójdzie pan pracować na komando Heinkel" - usłyszałem.

Kierownik wydał dyspozycje mojemu konwojentowi. Byłem zadowolony z takiego przebiegu sprawy. Po kilku dniach pożegnałem się kolegami i zawieziono mnie wraz z innymi do Heinkla. Zaczął się nowy półtoraroczny okres w walce o zdrowie, o przetrwanie.

Heinkel to znana fabryka samolotów. Komando, do którego trafiłem, składało się z kilku hal rozrzuconych w lesie. Ku mojej radości i zdziwieniu przydzielono mnie do przykładowego biura konstrukcyjnego.

Znalazłem się wśród Polaków i Francuzów. Tych ostatnich było znacznie więcej. Razem było tam około 20 osób.

Vorarbeiterem był Horst Lehman. W osobnym pokoju, tuż obok biura kierownika, siedział esesman. Nad nim wisiał portret Hitlera. Wszystko wokół było oszklone. Każdy mógł do nas zajrzeć przez szybę, a nawet widzieć z daleka, z hali. Przed naszym biurem przechodził kapo. A więc potrójna kontrola.

Dostałem kulmana⁶⁶, biurko i zadanie. Wiedziałem, że muszę się wykazać umiejętnościami konstrukcyjno-kreślarskimi, bo inaczej wylecę na zbity pysk. Dostałem temat, który świetnie rozumiałem. Odprężenie całkowite. Powoli powstawał rysunek główny zestawieniowy, a potem jego przekroje. Lehman, przechodząc koło mnie, uśmiechnął się z aprobatą. A we mnie aż skowyczała dusza z radości. Odradzałem się psychicznie. Na blokach spokojnie i bez głupiej dyscypliny. Poza tym był okres paczek. Okres ten wyniósł półtora roku i prawie w całości przypadł na mój pobyt w Heinklu.

Zaprzyjaźniłem się ze Sławkiem Wyszowskim, z Jurkiem Szablowskim, Witkiem (z Bydgoszczy).

Ale sielanka trwała krótko. W dziesiątym dniu pobytu w Heinklu przeżyłem pierwsze wielkie bombardowanie, tzw. dywanowe. Był dzień. Voralarm, a potem alarm. Zapędzono nas jak zwykle do podziemnych części baraków, gdzie znajdowały się schrony.

Nasz schron wyszedł cało, ale w inne trafiły bomby. Killkaset osób zabitych. Pół fabryki uszkodzone. W wielkim pośpiechu usuwano skutki nalotu. Wśród więźniów powstała psychoza strachu przed następnym bombardowaniem. Rozumowano logicznie: "Nalot będzie wkrótce powtórzony, by zniszczyć drugą część fabryki. Przetrwaliśmy głód, zimno i bicie, ale zginiemy od bomb. Prysło naiwne samouspokojenie, że alianci przecież wiedzą, że w Heinklu pracują więźniowie, i nie będą tu zrzucać bomb.

Po kilku dniach delegacja elity więźniarskiej zgłosiła prośbę do komendanta załogi esesmańskiej, by w czasie alarmów nie zapędzać więźniów do schronów, lecz pozwolić im rozbiec się po całym obszarze fabryki. Będą mniejsze straty w ludziach, produkcja mniej ucierpi.

Komendant obozu i administracja fabryki wyrazili zgodę. W czasie następnych alarmów więźniowie rozbiegali się w upatrzone miejsca: ojciec szedł w inną część fabryki niż syn. Tak samo robili koledzy, znajomi. Chodziło o to, by ten, który przeżyje, mógł przekazać wiadomości rodzinie zabitego.

Po następnym nalocie zarząd więziński znów uzyskał ustępstwo od kierownictwa fabryki. Przesunięto ogrodzenie zakładu z jednej strony. Mieliśmy do dyspozycji kawałek lasu. Zapobiegliwi więźniowie zaczęli budować sobie różne wgłębienia (ziemianki), a nawet bunkry.

Swoją ziemiankę dzieliłem z Jurkiem Szablowskim. Solidnie wykonany daszek spełniał potrójną, a może poczwórną rolę. Głównie ochraniał przed mniejszymi odłamkami szrapneli artylerii przeciwlotniczej. Poza tym chronił przed opadami i ostrym wiatrem. W ziemiance można było przeczekać alarm i nalot w pozycji siedzącej, na suchej desce czy ściółce leśnej.

Ochronę Berlina tworzyło pięć pierścieni stanowisk artylerii przeciwlotniczej. Szczególnie silna była ochrona od strony północnej. Znad Bałtyku ciągnęły bowiem eskadry bombowców. W czasie mego pobytu w Heinklu (półtora roku) regularność nalotów alianckich była nadzwyczajna.

Amerykanie bombardowali raz - przed południem, Anglicy dwa razy - w nocy. Czas nalotu w dzień łatwo było ustalić, choć nikt z nas nie miał zegarka. Natomiast w czasie bezchmurnej nocy czas ustalał Jurek Szablowski. Określał go z dokładnością do 10 minut. Znał się świetnie na układach gwiazd i ich obrotach. Do Jurka jeszcze wrócę, dużo mu zawdzięczam.

W czasie nocnych nalotów do grozy, bombardowań i grzmotu artylerii przeciwlotniczej dochodziła bogata iluminacja: ciągle rozbłyśki i wiszące nad Berlinem światła reflektorów.

Kiedy były przerwy w wybuchach bomb, słyszało się nieprzyjemne bzykanie tzw. oskołków, a od czasu do czasu ich pacnięcia o ziemię. Przykładem, że niebezpieczeństwo było realne, może być Jan Borek, który do końca życia chodził z odłamkiem w okolicy serca. Nie dał się operować. Odłamek był mały i organizm go jakoś odizolował... Tylko przy prześwietleniach klatki piersiowej dawał o sobie znać.

W czasie alarmów zaprzyjaźniłem się z Jurkiem. Właściwie to on codziennie (a raczej conocnie) zaskarbiał sobie moją dozwonną wdzięczność.

Od dzieciństwa miałem wadę wzroku - tzw. kurzą ślepotę. Kiedy w czasie alarmów nocnych i dziennych zapędzali nas do piwnic bloków mieszkalnych, nie miałem problemu z trafieniem do schronu. Kiedy pozwolono rozpraszać się po terenie fabryki, szedłem po omacku w pobliże i tam czekałem na odwołanie alarmu. Problem powstał wtedy, kiedy nocą w pośpiechu, poprzez fabrykę miałem dostać się do mojego "bunkra" w lasu.

Spróbowałem samodzielnie tylko raz. Wykorzystując krótkie rozjaśnienia od rozrywających się bomb, biegłem skokami do przodu. Delikatnie czepiałem się mijających mnie ludzi, potykałem się co raz o nierówności gruntu, i pozostałem w tyle. Wreszcie zostałem sam w mroku i zagubieniu. Przy najbliższym rozbłysku zamajaczyły mi kontury hali fabrycznej. Poszedłem do niej. Chciałem mieć ochronę przed odłamkami. Namacałem drzwi i wszedłem. Odczułem obecność maszyn i urządzeń. Poczułem się źle i spostrzegłem swój błąd. Przecież mogą mnie tu przyłapać. Posadzić o sabotaż lub kradzież. Zacząłem trząść się z nerwów i zimna. Postanowiłem wyjść i kucnąć pod napotkanym pniem sosny. Jednak wcześniej gdzieś w pobliżu spadły bomby. Fala wybuchu targnęła olbrzymimi wieżami hali i pchnęła je do środka. Powstał wielki trzask i rumor przewracanych blach i luźno stojących urządzeń. Brzęczały powybijane szyby. Leżałem poturbowany na posadzce za kadłubem jakiejś maszyny. Nim minął alarm, uciekłem na czworakach ku wyjściu. Mogły przecież przyjść zaraz ekipy ratownicze czy oddziały straży pożarnej. Odszedłem kilkadziesiąt metrów, gdy odwołano alarm. Wytężałem słuch. Zaczęli wracać więźniowie ze swoich prowizorycznych schronów. Gwar rozmów i szuranie nogami. Podeszedłem do tej słyszalnej drogi i włączyłem się w nurt. Bez żadnych już skrupułów zapytałem najbliższy cień, czy idzie może na blok 6. Powiedział: "Tak". Uradowany poprosiłem o pozwolenie trzymania się jego bluzy i wyjaśniłem dlaczego. Nie tylko zgodził się, ale wziął mnie mocno pod rękę i zaprowadził na miejsce.

Kiedy już leżałem na pryczy, przemyślałem ostatni alarm i postanowiłem nazajutrz zwrócić się do Jurka Szablowskiego o pomoc. Jurek oczywiście zgodził się. Nie bałem się już więcej nocy i alarmów. Jurek przejął się bardzo rolą opiekuna. Początkowo nie wiedziałem o jak wiele go poprosiłem. Przecież to było półtora roku. Ponad tysiąc alarmów.

Jurek sypiał albo źle, albo bardzo czujnie. Ledwo ucichł sygnał wstępnego alarmu (voralarm), a już stał przy moim łóżku i pomagał mi się ubrać. Potem mocno brał mnie za rękę i prowadził biegiem przez fabrykę do lasu. Miał koci wzrok. Z zaufaniem stawiałem nogi - wiedząc, że o nic się nie potknę. Jurek manewrował mną delikatnie i z wyczuciem. Zamykałem oczy i zamieniałem się w słuch i dotyk. I tak było dwa razy w nocy.

Spotkanie z Józkiem Mrozkiem

Pewnego alarmu zgubiłem się Jurkowi. Nie pamiętam szczegółów, ale w biegu zderzyliśmy się z grupą więźniów, którzy biegli, przecinając nam drogę. Powstało zamieszanie, popychania, jakieś przekleństwa, i zostałem sam.

Zacząłem iść do celu na własną rękę. Pomyliłem kierunek i wlałem na wzniesienie czy kopiec, a kiedy go obchodziłem, namacałem wgłębienie, a potem drzwi. Ze środka dochodziły przytłumione słowa rozmowy w języku polskim. Zapukałem kilkakrotnie. Otworzono mi. I tak zaczęła się znajomość z Józkiem Mrozkiem. Józek zbudował sobie niedaleko hali bunkier co się zowie. Doprowadził nawet prąd. Miał więc oświetlenie i mógł używać kuchenki elektrycznej do pitraszenia. Przychodzili do bunkra nawet cywile (Niemcy), gdy alarm ich zaskoczył i nie zdążyli wyjechać poza teren fabryki. Był okres paczek. Józek ich nie otrzymywał, a ja miałem do ugotowania kaszę, suszone kluski i inne wiktuały. Zachodziłem do jego bunkra i wspólnie gotowaliśmy. Wtedy taka pomoc miała znaczenie.

Ale ważniejsze było to, co Józek opowiadał. Nie tylko mnie. Zachodziło tu więcej więźniów, nie tylko w czasie nalotów. Mrozek pochodził z biednej i wielodzietnej rodziny z Podkarpacia. Należał do młodzieży o radykalnych poglądach lewicowych. W czasie wojny domowej w Hiszpanii w latach 1936-1939 znalazł się wśród ochotników. Walczył w brygadach międzynarodowych przeciwko reżimowi gen. Franco. Odznaczył się w wielu walkach. Po upadku republiki został internowany na terenie Francji. Uciekł. Przedostał się do Polski i walczył w oddziałach Gwardii Ludowej. W czasie jednej z akcji został ranny i uwięziony. Po podleczeniu w szpitalu przesłano go do Oświęcimia. Wyrok śmierci. Blok 11. Komendant przy podpisywaniu rozkazu wykonania wyroku zaciekał się na tyle życiorysem Mrozka, że kazał przedstawić go sobie.

Zobaczył małą krępa postać z trudem trzymającą się na kulach. Twarz z bliznami. Komendant, przeglądając akta zadawał pytania. Otrzymywał odpowiedzi jasne i godne człowieka o najwyższej odwadze. Finał tego dialogu był nieoczekiwany:

Komendant: "Jest pan dzielny panie Mrozek".

Mrozek: "Wszyscy mali ludzie są dzielni".

(Komendant był jeszcze niższy od więźnia, tylko wysoka czapka podciągała go trochę wzwyż).

Komendant (do esesmana): "Zaprowadź go do szpitala. Wyleczyć. Przydzielić dobrą pracę".

Esesman: "Egzekucji nie będzie?".

Komendant: "Nie będzie".

Jedną śmiałą wypowiedzią Józek uratował sobie życie. Potem robił wszystko, by wydostać się transportem do innego obozu koncentracyjnego. Pomagali mu w tym działacze organizacji podziemnej.

W końcu Józek wyjechał do Sachsenhausen i trafił do komanda Heinkel jako specjalista budowy samolotów. W nowym miejscu niewoli nie krył się ze swoją przeszłością. Należał do inspiratorów ruchu oporu i sabotażu. Po wojnie Mrozek pracował w organach bezpieczeństwa w kilku województwach i w stolicy. Spotkałem go przypadkowo w Gdańsku. Był koleżeński i bezpośredni jak w czasach niewoli. Zmarł po wieloletniej chorobie. Pogrzeb okazały. Salwa honorowa. W kondukcie niesiono wiele odznaczeń bojowych i państwowych.

Najdłuższa noc

Był luty 1945 r. Ewakuowano Heinkla. Pogoniono nas do macierzystego obozu w Sachsenhausen. Tu przepełnienie. Są więźniowie z Oświęcimia, Stutthofu, Majdanka i innych obozów. Dostają się do tzw. małego obozu. Śpimy w trzech na łóżku. Brud, smród i głód. Szukam sposobu, by wyrwać się do dużego obozu. Tam są znajomi na bloku 65. Pomogą.

Stoję przed ogrodzeniem i wypatruję znajomego, by go przywołać i przekazać gryps. Za plecami słyszę, jak blokowy zapowiada na jutro odgruzowywanie Oranienburga. Sam ledwo łażę, a tu perspektywa szarpania się z łopata lub kilofem. W tej sytuacji zwróciłem się z tupetem do blokowego, który ciągle szukał papierosów, tytoniu czy prymki: "Słuchaj, mam w dużym obozie wielu znajomych. Otrzymywali paczki. Puść mnie, a wrócę przed apelem wieczornym i przyniosę ci dużo papierosów".

Blokowy, Niemiec z czarnym winklem, z początku rzucił się na mnie i wyzwiał od najgorszych. Pogroził i poleciał. Ale wkrótce znowu był przy mnie. Uważnie sprawdził mój numer, zaczął się upewniać, czy mu nie zrobię jakiegos świństwa. Ja zapewniałem go, by był spokojny. Jestem przecież starym więźniem, wiem co to rygor obozowy, a przede wszystkim, co to jest nieobecność na apelu.

Blokowy złapał mnie nagle za ramiona i potrząsnął silnie. Chciał pokazać swą siłę i powiedział, że jeśli nie wrócę na apel, to mnie zabije. "Jak chcesz" - powiedziałem i odszedłem. Po chwili zaczepił mnie znowu: "No co? Przyniesiesz tabaki?" "Jak puścisz, to przyniosę".

Zaczął mnie zaklinać na wszystkie świętości i odprowadził do bramy, kazał ją otworzyć. Znalazłem się na pustym placu apelowym i zacząłem iść szybko do bloku 65., skąd przed półtora roku poszedłem do Heinkla. Wszędzie było pusto. Godziny pracy. Wczesne popołudnie.

Od skraju obozu zbliżał się więzień. Może znajomy? Odległość między nami malała i nagle poznaję Staszka Łypa. Zdawkowe słowa przywitania. Wzajemne poklepywanie się. Uśmiechy.

Stasiek: "Nietęgo wyglądasz".

Ja: "Na Heinklu duraluminium i stal. Nie ma co organizować do żarcia. Możesz mi pomóc i zatrzymać mnie tutaj?".

Stasiek: "Ale jak?".

Ja: "Przez szpital byłoby najprościej".

Stasiek: "Dobrze. Jestem tam fryzjerem na rewirze, mam kontakty z lekarzami. Pogadam z nimi. Przyjdź pod szpital o 16 i ustaw się w kolejce".

Podziękowałem radośnie i odszedłem. Miałem jeszcze około godziny czasu. Odwiedziłem swój blok.

Porozmawiałem ze stubedienstem, z kolegami, którzy mieli schonung⁶⁷. Żywa wymiana informacji, głównie o tych, którzy przebywali ze mną na skrzydle B. Potem szybko pod szpital. Spora kolejka chorych. Zaczął się w końcu przegląd. Doktor w asyście pielęgniarek szybko stawiał diagnozę i wydawała polecenia.

Kiedy przyszła kolej na mnie, lekarz elegancko zapytał: "Was Fehlt ihnen?"⁶⁸. To był już 1945 rok. Nastąpiło wiele zmian. Odpowiedziałem, że w sprawie mojej choroby rozmawiał z nim fryzjer Łyp. "Ach tak - powiedział - stimmt"⁶⁹. Ale wszędzie mam pełno. Tylko w tuberkulozie są wolne miejsca". Radośnie przyjąłem wyjaśnienie lekarza i odpowiedziałem, że mi wszystko jedno. Zatrzymam się tylko dzień lub dwa dni, a potem pójdę na komando. "Jak pan sobie życzy" - powiedział i dał mi kartkę ze skierowaniem na oddział gruźliczy.

Szedłem korytarzem łączącym poszczególne oddziały szpitala. Pielęgniarki i chorzy, których mijalem, jakoś smutno na mnie patrzyli. Na oddziale zapisano mnie i wyznaczono łóżko. Po zjedzeniu kolacji położyłem się i usnąłem od razu, zadowolony, że dopiąłem swego.

Obudziły mnie jakieś hałasy. Podniosłem głowę i nadśluchiwałem. U blokowego paliła się lampka. Na korytarzu przyćmione światło. Wywoływano więźniów i ustawiano w trójki. Po chwili wyprowadzono ich. Oprzytomniałem natychmiast. Coś niedobrego działo się koło mnie. W moją świadomość zaczęły się tłoczyć znaki zapytania: dlaczego w nocy, czy przyjdą po następnych, która godzina, czy można otworzyć okno. Przyszli i zabrali znowu około piętnastu więźniów. Ale po jakim czasie? Zacząłem po omacku badać wnętrze pomieszczenia. Podeszedłem do okna. Może przez szpary dojrzę świt? Byłby to dobry znak. Ale odrzuciłem tę myśl jako nielogiczną. Przecież najpierw dałby się słyszeć gong na wstawanie. Był luty, w lagrze budzono o piątej, a dzień zaczynał się znacznie później.

Twarz miałem rozpaloną i cały dygotałem od napięcia nerwowego. Byłem starym więźniem. Uświadomiłem sobie szybko, dokąd wyprowadza się w nocy. Opoдал za murem był tzw. industriehof, gdzie mieściło się krematorium i miejsce egzekucji.

Wyszła kolejna grupa skazanych na śmierć. Czy wszystkich wybiorą tej nocy? Jestem ostatni na liście. Może zostanę na następną? W dzień ucieknę za wszelką cenę. Będę krzyczał: "Ich habe keine Tuberculose"⁷⁰.

Tymczasem wybrałem już puste górne łóżko na środku sali. Wszedłem nań i odrzuciłem koc i prześcieradło. Odszukałem miejsce, przez które wpycha się słomę. Zacząłem sam się wciskać do środka siennika. Ale zrezygnowałem. Kurz drażnił gardło i mogłem się zdradzić kaśkaniem. Położyłem się pod siennik na samych deskach. Wyrównałem i zasłałem łóżko, jakby było puste. Trwałem tak bez ruchu. Jeszcze trzy razy przeżywałem grozę, zanim dało się słyszeć zbawienny gong.

Rano na naszym oddziale było dziwnie pusto. Ci, którzy pozostali, wyglądali strasznie. Przeżywali tę noc jak ja? Na pewno!

Zaraz po śniadaniu rozległ się alarm lotniczy. Zaczęło się bombardowanie. Wskoczyłem ze szpitala i położyłem się na ziemi między barakami. Miałem doświadczenie z Heinkla. Bomby spadły na wiele fabryk i komand, w których pracowali więźniowie. Było wielu zabitych i rannych. Szpital opuszczali wszyscy, którzy potrafili chodzić o własnych siłach. Na ich miejsca przynoszono rannych.

Nie wróciłem na oddział gruźliczy. Pobiegłem na blok 65., do swoich. Byłem uratowany.

Ostatnie dwa tygodnie

Pierwsze miesiące 1945 roku były pełne napięcia. Spekulowano, co z nami się stanie. Starano się przewidzieć wszelkie możliwości zakończenia niewoli. Wyobrażano sobie radosny wjazd Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale pesymiści widzieli masakrę i rozwiązanie ostateczne. Z tragicznym końcem więźniów liczyła się starszyzna obozowa. Przecież niedawno rozstrzelano dwudziestu siedmiu czołowych przedstawicieli więźniarskiego ruchu oporu.

Jedni planowali ukryć się w przewodach kanalizacyjnych. Inni myśleli o obronie. Część więźniów widziało możliwość zaatakowania strażników. Rozważano wybitej dużej dziury w okalającym murze i zbiorową ucieczkę. Pojawiły się patrole werbujące do oddziałów Dirlewangera⁷¹.

W dniu 19 kwietnia zaczęto wyprowadzać więźniów grupami po pięćset osób. Dawano po 1 kg chleba i około 10 dkg kiełbasy, przynajmniej w mojej kolumnie. W końcowej fazie ewakuacji dla wielu nie starczyło ani chleba, ani dodatków. Otoczeni esesmanami, ze ściśniętymi sercami i duszą na ramieniu szliśmy w nieznaną. Większość więźniów zjadała chleb od razu. Bali się kradzieży lub utraty w inny sposób tego drogiego skarbu.

Pędzono nas przez dwanaście dni. Noclegi w przygodnych stodołach lub całkiem na łonie natury. Pamiętam, jak wybrano nam miejsce na nocleg w zaroślach, na podmokłym terenie. Było zimno. Padał deszcz ze śniegiem. Nałamałem gałęzi i z nich uformowałem leże na około 30 cm wysokie. W nocy obudziło mnie przejmujące zimno. Mój cały lewy bok leżał w bagnie.

Dla samopomocy i obrony w tym ostatnim etapie naszej gehenny łączono się w małe grupy najbliższych sobie osób. Należałem do zespołu w składzie: Stanisław Abraszewski, Piotr Grochmolicki, Włodzimierz Zawadzki i Tadeusz Werman. Dowódcą był Tadek, który był najmłodszy i najlepiej się trzymał. Złożyliśmy sobie przysięgę wierności i posłuszeństwa.

W czasie marszu w dzień więźniowie robili wypadki na kopce z kartoflami, brukwią czy marchewką. Były to niebezpieczne decyzje, do których zmuszał głód. Kolumny szły pośpiesznie pod eskortą esesmanów. Rozstrzeliwano słabych, nienadających się więźniów. Zwykle kilku więźniów naraz wyskakiwało z kolumny i w rozsypce pędziło do celu. Nie pomagały krzyki: "Halt! Halt!". Później słychać było strzały ostrzegawcze, a potem ktoś się obsuwał na ziemię i nie wracał. Niczego już nie pragnął.

Przeżywałem mocno te skoki po żywność, bo sam brałem udział w jednym z nich. Dostałem nóż i polecenie wypadu do zabitego konia. Miałem przynieść kawałek mięsa. Stało się to tak nagle, że nie było czasu na refleksje czy zastanowienie. Ktoś mnie silnie pchnął, by mi pomóc w decyzji. Jak opętany zacząłem sadyć największe kroki przez rozmiękłą już ziemię. Mój wyskok wywołał impuls w najbliższym otoczeniu i obok mnie znaleźli się i inni. Widocznie w kolumnie dobrze obserwowali, co się dzieje wokół. Sytuacja wymagała wyjątkowej czujności.

Tymczasem biegłem co tchu w piersiach. Za mną krzyki i strzały. Koło mnie zdyszane oddechy. Dopadłem konia. Brzuch miał już wzdęty. Zalaływało odorem. Wbiłem nóż w udo. Ostrze tępe, a skóra i mięso twarde. Robiłem maksymalny wysiłek, by coś przynieść ze sobą i nie zawieść kolegów. Ręce miałem utyłane w skrzepłej krwi końskiej, a jak się potem okazało, i swojej. Koło mnie pracowało kilka scyzoryków. W końcu podjąłem decyzję powrotu. Obok ktoś ranny jęczał. Z kawałkiem koniny biegłem do swoich. Wskoczyłem na oślep w środek kolumny, nim esesman zdążył mnie złapać. Złapał kogoś innego, a mnie zostawił w spokoju. Przez kilka godzin nie mogłem dojść do siebie. Olbrzymi wysiłek fizyczny i psychiczny spowodował, że trząsałem się cały. Byliśmy już tak osłabieni. Jedyne pociechą był exodus ludności niemieckiej. Bez przerwy ciągnęły z pośpiechem tabory załadowane dobytkiem i żywym inwentarzem. Na twarzach zmęczenie, przerażenie i smutek. Satysfakcja za nasz wrzesień. Radość, jednak nie całkowita. Jeszcze byliśmy w niewoli, a los nasz był niepewny.

Esesmani, aby zapewnić szybki marsz, zabijali na miejscu słabych. Obserwowali, jak kto idzie i zaglądali w twarze. Skazanego wyciągali na bok, wpychali do przydrożnego rowu, i padał strzał z bliska.

Pamiętam, na jednym z przystanków po krótkim odpoczynku zarządzono dalszy marsz. Esesman podbiegł do więźnia, który zbyt wolno wstawał, a nawet złapał się za drzewo, by dopomóc sobie rękami. Wtedy padł strzał.

Słabi korzystali dyskretnie z pomocy kolegów. Trzymano ich wewnątrz kolumny. Pamiętam jak Władek Zawadzki, aby odciążać nogi, dał sąsiadom usztywnione ręce, żeby go podparli. Nogi miał obrzękłe od ropiejącej flegmony. Bez pomocy kolegów nie doszedłby do wolności. Ale inni ginęli. Kolumny malały. Trupy więźniów wzdłuż trasy stały się drogowskazem dla Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Postój w lasach koło Below

W drodze na północ zapędzono nas do dużego zespołu leśnego i otoczono posterunkami. Wewnątrz było dość luźno. Nie było blokowych czy vormanów. Tylko bliscy sobie więźniowie trzymali się razem, np. nasza piątka. Dziwny to był postój. Trwał trzy lub cztery dni. Bez jedzenia, bez wody. Po prostu las. Atmosfera była napięta do ostatnich granic.

Obawiano się, że lada chwila ze wszystkich stron zaterkocą karabiny maszynowe. Wybiją nas jak kolegów w czasie drogi. Poza tym ludzie marli jak muchy. Przecież nie dawano nam od kilku dni nic do jedzenia czy picia.

Pamiętam, jak w grupie prosiłem, by mnie zostawiono przy ognisku, bo chcę oszczędzać siły i poleżeć jak inni. Pokazałem wtedy ręką przykrytych kocami więźniów leżących pod sosnami. Abraszewski wziął mnie za rękę i powiedział: "Zobacz, kto to odpoczywa". Podeszliśmy do kilku więźniów. Już nie żyli. Stały im serca. Bez sprzeciwu wziąłem miskę i poszedłem daleko do strumyka po wodę. Na szyi na drucie dyndała mi puszka. Wrzuciłem do niej wszystko, co można było ugotować. A więc nasiona wszelkich traw i ziół oraz młode kłocza roślin, które już wystawały nad ziemię. Do puszki wrzuciłem też dużego czarnego ślimaka - cieszyłem się na tłusty dodatek w zupie, którą wspólnie ugotujemy.

Rzeczka, do której szedłem była oddalona ponad kilometr. W drodze mijałem więźniów, którzy snuli się we wszystkich kierunkach ze spuszczoneymi głowami. Szukali czegoś do zjedzenia. Niektórzy rozkopywali ziemię. Inni, głównie Francuzi, zrywali młode odrosty świerków. Nie pamiętam, czy jedli je na surowo, czy dopiero po ugotowaniu.

Nagle ktoś stanął przede mną i zagadnął. Był to Józek Mrozek. Uśmiechnął się. Wyciągnął rękę, zdjął mi ślimaka z ramienia i wrzucił z powrotem do puszki. Józek poinformował mnie, że za godzinę wychodzi poza obręb postenketty72. Ma znajomych Niemców. Wezmą go ze sobą. Mnie nie radził tego robić samemu, jeszcze było niebezpiecznie.

Na drugi dzień po tym spotkaniu wracałem właśnie z pełną miską wody, gdy nagle wśród więźniów powstał ogólny krzyk. Przestraszyłem się nie na żarty. Czy to bunt, czy może upragniona wolność? A może esesmani przystąpili do likwidacji?

Gdy tak gorączkowo myślałem, co robić, mignął mi w oddali samochód MCK. Potem drugi, trzeci, cały ich sznur. Zacząłem i ja krzyczeć jak opętany i biec do swoich. Po pewnym czasie zaczęto nam wydawać po jednej paczce na pięciu więźniów. Było to wielkie przeżycie. Po raz pierwszy od ponad pięciu lat widzieliśmy znowu czekoladę, szynkę, sery, śmietanę, keksy i podobne smakołyki. Powiał wiew wolności. Chyba teraz nas puszcza wolno.

Stało się inaczej. Byliśmy nadal we władaniu esesmanów. MCK odjechał. Jedni więźniowie wzmocnili się, inni umierali na skręt kiszek po zjedzeniu wszystkiego naraz. Widzę wyraźnie więźnia, który leżał na ziemi i wkładał do pełnych ust ostatni kawałek czekolady i tak zeszywniał z błogim uczuciem sytości.

Jeszcze raz był podział paczek i nagle wszystko się skończyło. Zarządzono wymarsz. Wśród krzyków i strzałów uformowano kolumny. Postenketta zaciskała się coraz ciasniej, jak sieć wyciągana przez rybaków. Pochowano zmarłych. Pędzono nas na północny zachód w kierunku Schwerina. Tym razem exodus trwał krócej - dwa lub trzy dni.

Około południa drugiego maja 1945 roku stało się to, na co czekaliśmy przez tyle ostatnich lat. Kiedy więźniowie w kolumnie szli jak co dzień, nagle ktoś z tylnych szeregów cichaczem podał jakby nieprawdopodobną wieść: "Esesmani zniknęli!".

Powstał rwetes i wszyscy nerwowo naradzali się. Jedni chcieli zostać na miejscu, drudzy weszli w las. Inna grupa zaczęła iść w odwrotnym kierunku. Ja należałem do około stu osób, które zdecydowały się iść dalej drogą w tym samym kierunku co dotychczas.

Stamtąd coraz bardziej słychać było narastający huk armat. Nasz marsz, początkowo uporządkowany, zmienił się w bezładny bieg. Byle szybciej do wolności. Napotkany samotny Francuz, może były pracownik u bauera, wyjaśnił, że już niedaleko do miasta, w którym są alianci.

Rósł grzmot nadciągających czołgów. W obawie, by nie zaszła jakaś pomyłka i nie otworzono do nas ognia, rozeszliśmy się w las i każdy skrył się za grube drzewo. Zza pnia było widać, jak szosą przewalały się zmotoryzowane wojska angielskie.

Kiedy front przesunął się obok nas, skrzyknęliśmy się znowu i szliśmy dalej do Schwerina. Na przedmieściu tego miasta przechodziliśmy obok obozu jeńców wojennych. Brama jeszcze była zamknięta. Wielu więźniów w pasiakach zbliżyło się do kolczastych drutów i radośnie witało, oznajmiając, że są już wolni! Jeńcy z kolei widząc wychudzone postacie, zaczęli podawać lub rzucać jedzenie poprzez ogrodzenie.

Z Tadekiem Wermanem nabierałem kartofli. Znalazło się wiaderko i w krótkim czasie gotowała się strawa. Wygłodniali czekaliśmy niecierpliwie. Kartofle zjedliśmy niedogotowane i za gorące. Żołądki zareagowały szybko. Kolejna biegunka. Żli na siebie, że pierwsze chwile wolności mamy takie nieudane, postanowiliśmy działać rozsądnie.

Do miasta nie było daleko. Na skrzyżowaniach ulic stali alianccy żołnierze i regulowali ruch. Wskazali nam kierunek dokąd mamy iść. Wszystkie bramy i drzwi w mieście pozamykane, a nam co chwilę potrzebne ustronne miejsce.

Na końcu długiej ulicy coś się działo. Jakieś śpiewy, krzyki, to znów głosy przerażenia. Staaliśmy z oddala przed owym campem (obozem), dokąd nas kierowano.

Widoki niezachęcające. Był to obóz zbiorowy dla pracowników cywilnych różnych narodowości. Załatwiano ukryte animozje, konflikty, porachunki. Zdobyty alkohol usunął hamulce moralne. Jeszcze po 40 latach widzę

wyraźnie taką scenę: ktoś wypada z drzwi baraku, za nim z grubym kijem prześladowca. Uderzenie w głowę i pierwszy pada. Tymczasem drugiego bije w głowę następny.

Szukaliśmy więc innego lokum w mieście. Wybór padł na częściowo zbombardowany dom. Po drabinie dostaliśmy się do pokoju na piętrze. Pomieszczenie było całkiem dobrze utrzymane. Woda i gaz na miejscu. Wciągnęliśmy za sobą drabinę.

Po umyciu się poszliśmy do łóżek. Głód nas obudził. Poszliśmy na miasto. Napotkaliśmy rozbity magazyn żywnościowy koło dworca kolejowego. Aż dziw, że Niemcy mieli jeszcze tyle żarcia pod koniec wojny. Żeby nas nie korciło, wzięliśmy ze sobą tylko marmoladę i ryż. Przez kilka dni trwała kuracja. Potem pojechaliśmy do Lubeki, gdzie były duże skupiska Polaków. I tych z obozów koncentracyjnych, i jeńców wojennych, i wziętych na roboty do Niemiec.

W Lubece było różnie z jedzeniem i mieszkaniem. Jedni zajęli puste domy przy Marienstrasse. Część postarała się o piękne wille i tam organizowała sobie życie. Przez dwa miesiące pracowałem w polskich warsztatach samochodowych prowadzących naprawy i inne usługi dla wojsk alianckich. Za całodzienną pracę dostawaliśmy pół bochenka chleba.

Z radością przyjąłem wiadomość, że Szwedzki Czerwony Krzyż dokonuje przeglądu byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Zgłosiłem się tam niezwłocznie. Od dłuższego czasu czułem się źle i pokasywałem. Czyżby płuca? Gruźlica?

Na komisji lekarskiej zakwalifikowano mnie do leczenia. Stwierdzono ogólne wyniszczenie organizmu i gruźlicę (prążkową) lewego płuca.

Mały turnus wyjeżdżał do Szwecji 20 lipca. W przeddzień wyjazdu dostaliśmy pełno jedzenia - 4500 kalorii.

To gen. Maczek zaopiekował się byłymi więźniami i wziął ich na swój wikt. Ale decyzji już nie zmieniłem.

Pobyt w Szwecji trwał trzy i pół miesiąca. Zaleczono moją gruźlicę słynnym wtedy lekarstwem PAS73.

Pierwszym transportem wyjechałem do Gdyni. 30 października 1945 roku znalazłem się wśród swoich.

1 Bądź zdrów, przyjacielu.

2 Ręce do góry.

3 Czy pan Czesław Iberszer?

4 Proszę pójść z nami.

5 Dalej, dalej!

6 Praca czyni wolnym.

7 Esesman nadzorujący blok.

8 Więzień odpowiedzialny za latrynę.

9 Część dzienna bloku.

10 Sztubowy.

11 Więzień pracujący w obozowym urzędzie zatrudnienia i przydzielający pracę więźniom.

12 Stolarnia.

13 Fabryka butów.

14 Obieralnia ziemniaków.

15 Ogrodnictwo.

16 Obóz zewnętrzny Klinkerwerk znajdował się w okolicy Lehnitz-Schlüse pod Oranienburgiem. Więźniowie w nim zatrudnieni pracowali przy produkcji kostek klinkierowych na rzecz oranienburskiej firmy Heinkel- und Klinker-Werke.

17 Skrzydło (część baraku).

18 Więzień funkcyjny.

19 muzułman - skrajnie wyczerpany fizycznie i psychicznie więzień, niezdolny do pracy i walki o przetrwanie

20 Martwy?

21 Jeszcze nie!

22 To zróbcie, żeby był martwy!

23 Rozejść się do bloków!

24 Emil Hácha - od 30 XI 1938 r. prezydent Czechosłowacji, od 16 III 1939 r. prezydent Protektoratu Czech i Moraw.

25 Mowa o Niemieckiej Liście Narodowościowej.

26 W Woldenbergu znajdował się Oflag II C.

27 W Sachsenhausen baraki mieszkalne rozmieszczone były w czterech półkolistych okręgach otaczających plac apelowy.

28 Azo - więzień "asocjalny", uchylający się od pracy, w obozie oznaczony czarnym trójkątem (niem. ASO skrót od asoziale)

29 Nie jestem żadnym złodziejem! Kupiłem chleb!

30 szybung - spekulacja, machlojka (niem. Schiebung)
31 Tutaj, już idę.
32 Czy to twoja szafka?
33 Tak jest.
34 Czy to twoje mydło?
35 Przyjaźń, koleżeństwo.
36 schreibstuba - kancelaria obozowa (niem. Schreibstube)
37 Brygadzysta.
38 Więzień funkcyjny odpowiedzialny za łaźnię.
39 Czy ty jesteś młodociany?
40 Kreca - świerzb (niem. Krätze)
41 Chodź tu!
42 Komando zajmujące się pracami budowlanymi.
43 robić dalej!
44 Ten już całkiem osłabł.
45 Inspekcja obozów koncentracyjnych.
46 Czy masz może za dużo chleba?
47 Sprzątać.
48 Obieracz kartofli.
49 rollwaga - wózek (niem. Rollwagen)
50 Stać!
51 Wynocha!
52 Biegunka głodowa.
53 Komando więźniów pracujących w zakładach zbrojeniowych, które ulokowano w barakach ukrytych w lesie.
54 Dowódca komanda roboczego.
55 Wy przekłęci idioci!
56 Róbcie dalej, ale szybko.
57 Obozowe biuro zatrudnienia.
58 Część obozu, w której znajdowały się budynki gospodarcze.
59 Iberszer, Iberszer, gdzie jest ten facet!
60 Dzisiaj żadnej roboty! Idź do bramy!
61 Rozejść się do komand roboczych!
62 Chodź ze mną!
63 Proszę pójść ze mną!
64 Czy jest pan technikiem?
65 Po egzaminach?
66 Stół kreślarski.
67 Rekonwalescencja, zwolnienie z pracy.
68 Jak się pan czuje?
69 Zgadza się.
70 Nie mam gruźlicy.
71 Oskar Dirlwanger - SS-Oberführer, dowódca 36. Dywizji Grenadierów Pancernych SS.
72 Linia posterunków straży.
73 PAS - kwas paraaminosalicylowy, silny środek bakteriostatyczny, jedno pierwszych skutecznych leków na gruźlicę.
Czesław Iberszer

Sachsenhausen